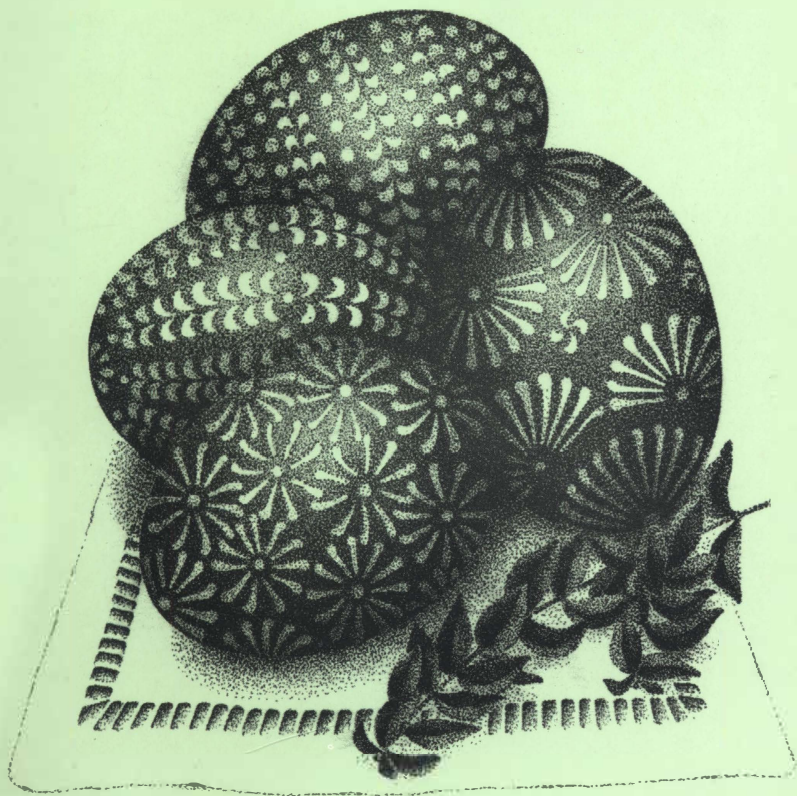


ALMANACHI

SĄDECKI



CIVITAS



CHRISTIANA

Katolickie Stowarzyszenie
"Civitas Christiana"
Oddział w Nowym Sączu

ALMANACH

SĄDECKI

R. XI NR 1 (38)

Sądecka Biblioteka Publiczna



REGION



Nowy Sącz 2002



94(438)

Almanach Sądecki (kwartalnik)

Wydawnictwo Katolickiego Stowarzyszenia

"Civitas Christiana" w Nowym Sączu

33-300 Nowy Sącz

ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3

tel. (018) 443 81 52

Redakcja: Leszek Migrała – red. naczelny
Marek Basiaga
Stanisław Pażucha

Projekt okładki: Barbara Magierowa

Druk: S.C. "BAAD"
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. (018) 441 28 25

ZWYCZAJE I OBRZĘDOWOŚĆ MUSZYNY

OBRZĘDOWOŚĆ DOROCZNA

Kultura ludowa na terenie gminy Muszyna była rozwijana i z dumą przekazywana z pokolenia na pokolenie. Rodowa dumą i dostojność muszyńskich mieszczan objawiały się przede wszystkim podczas uroczystości rodzinnych i kościelnych. W nich to muszyński świątek zachował najdłużej swoje charakterystyczne znamiona¹.

Przypadający na 30 listopada dzień św. Andrzeja jest początkiem roku kościelnego. Dawniej dzień ten był bogaty w obyczaje i obrzędy, z których w Muszynie pozostały tylko wróżby zwane "andrzejkami". Wieczorem w wigilię św. Andrzeja dziewczyny wróżyły kto opuści dom rodzinny w ciągu nadchodzącego roku. Ustawiały trzewik z lewej nogi każdego z domowników w rzędzie, w kierunku od ściany do drzwi, zaczynając trzewikiem ojca, dalej matki i dzieci według starszeństwa. Następnie trzewiki te przekładały jeden po drugim, aż w końcu któryś z trzewików znalazł się na progu. Był to znak, że jego właściciel w ciągu roku opuści dom. Inny zwyczaj polegał na tym, że na wodę w misce dziewczyny wylewały rozgrzany wosk lub ołów, patrząc w jaką figurę zastygnie i z jego kształtu, względnie z cienia rzuconego na ścianę, wnioskowały, czy przyszedł mąż będzie rolnikiem, rzemieślnikiem, kupcem, czy może muzykiem. Wkładały do wazonów gałązki wiśni i czekały do Bożego Narodzenia. Zazielenienie się gałązki oznaczało dobrą wróżbę. Pod poduszkę kładły dziewczyny karteczki z imionami kawalerów, aby po przebudzeniu się ciągnąć losy. Repertuar wróżb był duży, jednak z biegiem czasu pozostało tylko lanie wosku lub ołowiu i przekładanie trzewików.

Dzień 6 grudnia jest poświęcony św. Mikołajowi. W Muszynie znany był zwyczaj, że mężczyzna przebrany w szaty liturgiczne z mitrą na głowie i pastorałem w ręce, w towarzystwie chłopca w bieli grającego rolę anioła i umorusanego czarnego chłopca – diabła dzwoniącego łańcuchem, obchodził domy, w których dawano mu dary do wręczenia dzieciom. Po wejściu do domu św. Mikołaj pytał czy dzieci były dobre i posłuszne w ciągu roku. Te zaś w nagrodę za to otrzymywały jabłka, słodycze i inne drobiazgi. Natomiast psotników diabeł okładał kijem.

Żaden dzień w roku nie był tak bogaty w obrzędy i wróżby co wigilia (łac. *vigilare* – oczekiwać), w Muszynie nazywana „wiliją”. Od przebiegu wigilii miała zależeć jakość nadchodzącego roku. Pannę, która tarła mak, czekało wnet zamążpójście. Myśliwy, który coś wtedy upolował, liczyć mógł w najbliższych miesiącach na szczęście w łowach. Spryciarzowi, któremu udało się odebrać sąsiadowi siekiere, pług, wszelkie dobro miało Ignąć do rąk, nawet jeśli odebranie, traktowane jako żart, skończyło się miłym okupem. Panowało przekonanie, że w wigilię los człowieka może zyskać nowy, szczęśliwy obrót. W wigilię panował pełny post, toteż potrawy mięsne i mleczne były wykluczone. Co więcej, przewidziany był tylko jeden posiłek w ciągu dnia – śniadanie, które składało się z czarnej kawy, chleba i z kawałków śledzia moczonego w occie. Zwracano uwagę, by liczba osób przy stole była parzysta, ponieważ liczba nieparzysta oznaczała, że ktoś z rodziny nie weźmie udziału w następnej wigilijnej wieczerzy. Natomiast liczba potraw była nieparzysta, co miało oznaczać, że jest jeszcze miejsce na dalszą potrawę. Wszystkie potrawy, a było ich 7, 9, 11, a nawet niekiedy 13, były postne, to znaczy przygotowane bez nabiału czy mięsa i w jak najbardziej prosty sposób. W skład potraw wchodziły: kapusta, groch, jabłka, śliwki suszone, śledź lub karp, kluski zwane babalkami, pierogi itp. Jeżeli trzeba było potrawę omaścić, to używano do tego oleju lnianego. Po wieczerzy następowało wróżenie, kolędowanie oraz karmienie zwierząt. Gospodarz zabierał resztki wieczerzy wigilijnej i udawał się do obory. Podawał zwierzętom kawałki chleba z oplatkiem i resztki potraw. Według wierzeń w wigilię o północy krowy miały rozmawiać między sobą ludzkim głosem.

W okresie świąt odbywało się kolędowanie. W Muszynie chodziły trzy grupy kolędników: z turoniem, gwiazdą i szopką. U kolędników z turoniem główną rolę odgrywał przebieraniec, który na kiju miał osadzoną głowę zrobioną

z drewna na wzór głowy konia, kozy czy niedźwiedzia z rogami. Od głowy zwi-
sał mu długi kozuch lub płachta, która okrywała przebierańca. Turoniowi to-
warzyszili kolędnicy. Jedn z nich prowadził turonia na łańcuchu. Po wejściu
do domu składali życzenia, śpiewali kolędy, a turoń gonił dziewczęta wywołu-
jąc tym dużo wesołości. Druga grupa to kolędnicy z gwiazdą, tworzący zespół
składający się z 3–5 młodzieńców, z których jeden nosił na drążku płonącą
gwiazdę. Był to stary przetak ze świeczką w środku, również dookoła oblepio-
ny kolorowymi świeczkami; kolędnicy składali życzenia, śpiewali kolędy, a na-
wet frywolne piosenki.

Okres od Trzech Króli do środy popielcowej był czasem wesel i hucznych
zabaw, ponieważ prac w gospodarstwie nie było. Znaczącym był też okres od
popielca do Wielkanocy. Muszynianie bardzo przestrzegali zasad dotyczą-
cych rytuałów religijnych. Post był ściśle przestrzegany. W środy, piątki i so-
boty nie jadło się ani mięsa, ani nabiału. Na śniadanie był chleb, albo buło-
nik – placek pieczony na blasze, kawa zbożowa, rzadko kiedy słodzona.

Święta Wielkanocne rozpoczynały się w Wielką Sobotę. W tym dniu lu-
dzie przynosili potrawy do poświęcenia w kościele: szynkę, kielbasę, kraszan-
ki, chrzan, sól, strucle, buchty, maść szoldrową itp. Ksiądz odmawiał modli-
twę, kropił święconą wodą kasze, po czym ludzie ze “święconym” wracali do
domu. W Wielką Sobotę po zachodzie słońca odbywało się w kościele nabo-
żeństwo rezurekcyjne. Ksiądz odmawiał modlitwy przy Grobie Pańskim, a na-
stępnie wychodził z procesją z kościoła. Wracając do domu z rezurekcji uni-
kało się wstępowania do innych domów, by w nich nie pozostawić błogosła-
wieństwa Bożego, jakie otrzymywało się w kościele.

W Niedzielę Wielkanocną, rano, spożywano święcone. Skorupki ze świę-
conych jajek przechowywano, a następnie wrzucano do siewnego ziarna, co
miało chronić zasiew przed zniszczeniem przez robaki. Obłupione jajka kraja-
ło się na części i każdy uczestnik śniadania, mając część jajka nabitego na
widelcu, stukał się nim z innymi domownikami wymieniając życzenia.

O ile na Boże Narodzenie mięsem świątecznym była gęszina, to na Wiel-
kanoc tę samą rolę spełniała wieprzowina, a w biedniejszych rodzinach mięso
z jagniąt lub kozłąt. W pierwszy dzień Wielkanocy nie wolno było wylegiwać
się ani spać, bo “żyto w polu będzie się przewracało”. W tym dniu wstrzymy-
wano się z odwiedzinami. Zebrana w domu rodzina śpiewała pieśni wielka-

nocne. Drugi dzień wielkanocny był obchodzony uroczyście. W kościele odbywały się msze i suma. W dniu tym młodzieńcy polewali wodą dziewczyny. Zazwyczaj przychodzili do domów wcześniej rano otrzymując za to kraszanki. Trzeci dzień Wielkanocy również był obchodzony uroczyście, ale później stracił swój odświętny charakter. Niemniej jednak ludzie wstrzymywali się od większych prac w gospodarstwie.

Kolejnym znaczącym świętem było zesłanie Ducha Świętego. W sobotę przed Zielonymi Świątkami majono domy w Muszynie gałązkami brzozy, modrzewia i innych drzew. Nie wolno było ścinać leszczyny, bo według legendy pod nią schowała się Matka Boska podczas ucieczki z Egiptu². Dzięki temu w krzak leszczyny nigdy piorun nie uderzy. W drugi dzień Zielonych Świątek w Muszynie kultywowano zwyczaj podobny do zwyczaju we Wszystkich Świętych. Strojono wtedy groby bliskich, palono świeczki, a ksiądz w kaplicy cmentarnej odprawiał Mszę św.

Istotnym świętem pozostaje też dzień Bożego Ciała. W Muszynie ustawiano na rynku cztery ołtarze udekorowane gałązkami brzozy i modrzewia. Kiedy ksiądz po modlitwach przed jednym ołtarzem udawał się do następnego, chłopcy odłamywali gałązki tak dokładnie, że ogałacali ołtarze. Ułamane gałązki zabierano do domów, gdzie były palone podczas burzy, gdyż miały odpędzić pioruny od zagrody.

Bardzo uroczyście była obchodzona noc św. Jana (23 czerwca). Odświętny charakter tego dnia zachował się do tej pory. Dawniej nocy świętojańskiej towarzyszyło wykonywanie różnych obrzędów, zwłaszcza przeciwko czarownikom, które w tę noc miały być szczególnie aktywne³.

Święto Matki Boskiej Siewnej tradycyjnie związane było z dożynkami i początkami zasiewów zimowych. Dożynki obchodzone były na początku września⁴. Żniwiarze uplatali wieniec z kłosów i kwiatów ustrojony wstążkami i nieśli go do gospodarza. Procesję prowadziła najpiękniejsza żniwiarka. Wszyscy śpiewali: "Plon, niesiemy plon, w gospodarza dom". Gdy gospodarz ich witał, ktoś wyskakiwał z ukrycia z wiadrem i oblewał przodownicę wodą. Następnie odbywała się uczta ze śpiewami i tańcami. Słowo 'plon' oznaczało zbiory, ale również "ducha zboża", który na wiosnę wraz z siewem wracał na pole i pomnażał zbiory.

W trzecią niedzielę października, kiedy nie tylko zboże było w domu, ale i wykopane ziemniaki i buraki zebrane z ogrodów, w kościele odprawiano

dziękczynne nabożeństwo zwane "kiermaszem", a w domu wydawano "odomasz", czyli ucztę.

Również święto Wszystkich Świętych było obchodzone bardzo uroczyście, co zresztą praktykuje się do dzisiaj. Podsumowując krótki opis dorocznej obrzędowości kultywowanej w Muszynie, należy podkreślić, że wiele dawnych obyczajów zachowało się do dzisiaj w zupełnie niezmienionej formie. Część z nich jednak uległa uproszczeniu i unowocześnieniu i nie jest kontynuowana przez młodych ludzi.

OBRZĘDOWOŚĆ RODZINNA

Do najważniejszych wydarzeń w rodzinie należą narodziny dziecka, ślub i pogrzeb⁵. Podobnie jak obrzędowość doroczna, tak też i tego rodzaju wydarzenia rodzinne mają swoją oprawę magiczną. Powiązane są one z licznymi wydarzeniami, obrzędami i zwyczajami. I tak np. kobietę w ciąży obowiązywały różne zakazy, po których pozostały obecnie niktłe wspomnienia⁶. Przestrzegano przyszłe matki przed tzw. zapatrzeniem się, podając konkretne, negatywne przykłady skutków lekceważenia tego zakazu.

W latach powojennych znano mężczyznę, który mieszkał nieopodal kościoła. Miał dziwne rysy twarzy i brak mu było prawej dłoni. Ludzie opowiadali, że jego matka podczas ciąży lubiła klęczeć czy siadać na stopniach ołtarza św. Jana, gdzie jest chrzcielnica. Koło niej była figura anioła, któremu ktoś oderwał prawą dłoń. Kobieta długo wpatrywała się w figurę, tak że się "zapatrzyła". Urodziła chłopca o twarzy anioła bez prawej dłoni.

Inna historia opowiada o dziewczynce, która miała krótszą prawą nogę. Ludzie współczuli jej, ponieważ była piękną dziewczyną, podobnie jak jej matka. Również ojciec dziewczyny był przystojnym, zdrowym człowiekiem. Ludzie opowiadali, że gdy był młodzieńcem lubił wyśmiewać się z kalek. Kiedyś zobaczył staruszkę, która utykała, naśladował ją i śmiał się z niej. Zdenerwowana tym kobieta zawołała: "Oby ci się ułomna córka urodziła!" I tak też się stało.

W rezultacie kobiety w ciąży unikały "zapatrzenia się" do tego stopnia, że mijając żebraków, ludzi ułomnych czy brzydkich, odwracały wzrok od nich, albo zasłaniały sobie rękami oczy.

Do chrztu zanosili dziecko "kumowie", czyli ojciec i matka chrzestna. Po powrocie z kościoła mówili: "Wynieśliśmy poganina z domu, przynosimy chrze-

ścijanina! Gdzie jest ojciec?" Jemu oddawali dziecko, a on z kolei matce.

Kolejny ważny etap w życiu rodziny wyznaczał ślub i wesele. W Muszynie wesela wiązały się z odpowiednią tradycją⁷. W niektórych rodzinach – zwłaszcza bogatych – uważano, że córkę (narzeczoną) należy kupić. Syn bogatej rodziny nie miał z tym problemów. Gorzej było, gdy pochodził z biednej rodziny. Wtedy jedynym wyjściem dla niego było porwanie dziewczyny (było to dość powszechnie praktykowane). Wstępem do wesela były zmówiny. Ze strony młodzieńca dwaj starsi mężczyźni udawali się w czwartek wieczorem do domu rodziców panny młodej. Szedł z nimi też młodzieniec, ale zostawał przed domem. Swatowie pytali rodziców panny młodej o zgodę na jej zamążpójście. Jeżeli rodzicom lub dziewczynie konkurent się nie podobał – odmawiali – wówczas swatowie odchodzili. W przypadku przyzwolenia swatowie wyciągali z kieszeni butelkę wódki i wołali młodzieńca, by wszedł do domu. Rodzice informowali wtedy, jaki będzie posąg panny. W tym czasie dziewczyna kryła się przed młodzieńcem i wychodziła dopiero gdy ją wywołano. Młodzieniec od swoich rodziców otrzymywał ziemię, panna pieniądze i wyprawę. Jeżeli w posagu otrzymała ziemię, młodzieńca lekceważono, jako mężczyznę "bez ziemi". Zamiejscowy młodzieniec, który ożenił się w Muszynie, otrzymywał przezwisko "przystaś", bo przysłał do jakiejś rodziny.

Ślub kościelny odbywał się w sobotę, natomiast w domu panny młodej urządzano "dziewiczy wieczór". Schodziły się przyjaciółki panny młodej, rozplatały jej warkocz, wity wieniec przy śpiewie pieśni obrzędowych. W dzień ślubu, rano, pan młody przybywał z drużbami do domu narzeczonej. Wpuszczano go do środka po specjalnej ceremonii targowania się. Panna młoda z płaczem całowała bochenek chleba i razem z narzeczoną przystawała, by wysłuchać oracji starosty. Następnie młoda para prosiła rodziców o błogosławieństwo.

W pierwszą noc po ślubie następowały oczepiny, czyli wprowadzenie panny młodej w krąg mężatek. Kobiety sadzały ją na dzieźce pośrodku izby i śpiewając pieśni obrzędowe obcinały jej warkocz, a następnie nakładały czepek na głowę. Panna młoda protestowała, płakała, zrzucała czepek, ale w końcu godziła się z losem.

Zazwyczaj młoda mężatka przechodziła do rodziny męża, by tam zamieszkać. Po przybyciu do nowego domu witana była chlebem i solą lub chlebem i miodem, aby miała tam "słodkie życie".

Ciężkim przeżyciem w rodzinie była śmierć kogoś z jej członków. Agonia uważana była za "zbieranie się" duszy do wyjścia z ciała⁸. Choremu dawano gromnicę do ręki i zabraniano płaczu i hałasu, by "nie przecinać duszy". Jeżeli chory męczył się i nie mógł skończyć, uważano że jest wielkim grzesznikiem, albo czarownikiem. Była w Muszynie pewna kobieta, którą posądzano, że jest czarownicą. Kiedy nie mogła skończyć, do jej chaty wszedł obcy mężczyzna, nachylił się nad leżącą w łóżku i coś jej poszeptał do ucha. Następnie skierował się do drzwi. Nim je zamknął za sobą, chora skończyła. W ten sposób obecni w izbie zorientowali się, że mężczyzna musiał być czarownikiem. Ludzie opowiadali, że czarownice i czarownicy mają jakieś zaklęcie na skrócenie konania.

Oczy zmarłego zamykano, aby nie "wypatrzył" kogoś z rodziny na drugi świat. Ciało ubierano w nowe okrycie i nakładano mu specjalne obuwie, ponieważ mówiono, że czeka nieboszczyka daleka droga. Domownicy wciągali na siebie odświętne stroje i do pogrzebu nie wolno im było pracować. Ciało pozostawało w domu przez dwie noce, które zwano "pustymi". Zmarłe dzieci wkładano do trumny białego koloru. Dla panien był niebieski, a dla starszych osób – czarny. Jeżeli umarło jedno z małżeństwa, pozostała przy życiu osoba siekierą rozcinała najdrobniejszą monetę i jedną połowę kładła do trumny, drugą zatrzymywała dla siebie. W ten sposób symbolicznie dzieliła majątek na dwie połowy, przekazując jedną połowę nieboszczykowi.

Przy wynoszeniu trumny z domu lekko trzy razy stukano nią w próg. Mówiono, że ten sposób zmarły "żegna się" domem. Zwłoki z dalszych okolic Muszyny wieziono na saniach, lecz w pewnej odległości od kościoła przystawano i mężczyźni brali trumnę na ramiona. Uważano, że zmarły zasłużył sobie na to, by go nieśli a nie wieźli. Podczas przejścia konduktu do kościoła ludzie śpiewali pieśni pogrzebowe.

Żałobę obchodzono w rodzinie przez czterdzieści dni. Po czterdziestu dniach po pogrzebie zbierali się znów krewni i znajomi na różaniec i pieśni pogrzebowe, jak przy zwłokach. Było to ostatnie pożegnanie zmarłego. "Czterdziestnica" ma swoje uzasadnienie psychologiczne. Osobom, które utraciły kogoś z kim były uczuciowo związane, potrzebny jest okres ponad miesiąca na powrót do równowagi psychicznej.

LUDOWE LECZNICTWO

Niski poziom higieny, złe odżywianie się i ciężka praca fizyczna były powodem powstawania wielu chorób. Walcząc z nimi ludowe leczenie rozwinięło magię. Stąd utarło się mniemanie, że jest ono niczym innym jak tylko stekiem zabobonnych środków i praktyk. Tymczasem ludzie stosując środki, jakie mieli do uśmierzenia bólu, mimo woli trafiali na racjonalne lekarstwa i metody leczenia. Stąd leczenie ludowe można podzielić na racjonalne i nieracjonalne. Do leczenia racjonalnego należało: picie wody mineralnej, różnorodne stosowanie ziół, nacieranie chorych części ciała maściami, alkoholem, tłuszczem, stosowanie okładów. Muszynianie od wieków przy skaleczeniach zwilżali chleb, mieszały go z pajęczyną i przykładali na rany. Była to ludowa "penicylina".

Warto w tym miejscu przytoczyć przypadek, jaki zdarzył się w pewnej mużyńskiej rodzinie. Otóż raz pewnego dziesięcioletnia dziewczyna zapadła na tyfus wodny. Przywołany lekarz oświadczył, że nie ma lekarstwa na tę chorobę. Stwierdził, że u chorej nastąpi stopniowy zanik działalności zmysłów i mięśni, że czeka ją śmierć. Gdyby jakimś cudem powróciła do zdrowia, to będzie kaleką, głuchą, niemową, niedorozwiniętą umysłowo, bo choroba uszkodziła jej mózg. Zamiast leczyć, lepiej się modlić o szybką śmierć dla dziewczyny. Zapowiedź lekarza okazała się słuszna. Dziewczyna stopniowo traciła władze w kończynach i zupełnie wychudła. Jedyne jej pożywieniem była śmietana, którą matka siłą do gardła chorej wlewała. W krytycznym momencie przybyła do nich daleka sąsiadka, która wcale nie rościła sobie pretensji do tego, by uchodzić za znachorkę. Poradziła jednak matce dziewczyny, aby wykąpała ją w wodzie zaprawionej gnojówką z obornika. Jeżeli to nie pomoże, to też na pewno nie zaszkodzi. Matka wykąpała chorą i zaraz po pierwszej kąpieli pokazały się u niej oznaki ożywienia. Przede wszystkim zaczęła otwierać usta przy jedzeniu. Wobec tego matka zrobiła jej drugą i trzecią kąpiel. To spowodowało, że dziewczyna podniosła się z łóżka i stanęła na nogach. W międzyczasie lekarz został przywołany do chorego w sąsiedztwie tejże dziewczyny. Przypomniał sobie o niej i postanowił wstąpić do tego domu. Oslupiał, gdy zobaczył chorą stawiającą już pierwsze kroki.

Leczenie nieracjonalne polegało na tym, że nie tylko stosowano środki nie mające nic wspólnego z leczeniem, ale również używano "odpowiednich" słów – "wyklinano" chorobę. Wiara w skuteczność tych nieracjonalnych środ-

ków była tak wielka, że pewien znachor, szeroko znany na Podhalu przed drugą wojną światową, który stosował tylko zioła w leczeniu, a zupełnie lekceważył sobie "zamawianie", oświadczył, że za każdym razem, kiedy podał chory ma zażywać, spotykał się z pytaniem, co należy robić i mówić przy tym, bo bez tego nikt się nie wyleczy. Wtedy znachor musiał wymyślać jakieś czynności i słowa, na przykład, że chory ma wstać z łóżka o północy, obejść izbę tyłem trzy razy odmawiając *Ojciec nasz*. Tak też pacjent robił i wtedy "zioła pomagały". Znachor żalił się, że więcej kłopotu sprawia mu wymyślanie różnych praktyk magicznych niż poznanie choroby i dostosowanie do niej odpowiednich ziół.

Niski poziom higieny był powodem wielu chorób skóry. Stąd powstało wiele ich nazw, takich jak: 'parch', 'świerzb', 'krosta', 'kurzajka', 'pryszcz', 'liszaj', 'wrzód', czy 'jęczmień'. Mieszkańcy Muszyny znali chrypkę, kaszel, ospę, zimnicę, padaczkę itp. Na skutek wiary, że chorobę można wywołać przez zwykłe wymówienie jej nazwy, ludzie, by tego uniknąć, zmieniali nazwy, przy czym dla udobruchania choroby zwano ją "ciotką", "babką" czy "siostrą". Do dzisiaj w Muszynie używa się tych określeń. Ludzie podawali różne powody powstawania chorób. Wichura miała powodować ból głowy, choroby skóry, padaczkę, a nawet obłęd u ludzi i zwierząt; woda miała powodować wodną puchliznę. Wiele chorób miały powodować robaki, które mogły zagnieździć się w jelitach, sercu, a nawet w mózgu człowieka; także inne pasożyty były niebezpieczne. Również pewne osoby miały być przyczyną powstawania chorób, zwłaszcza te, które rzucały tak zawistne spojrzenia, że pod ich wpływem człowiek dostawał bólu głowy, zawrotów, wymiotów, itp.

Jeszcze długo po drugiej wojnie światowej cieszyły się wzięciem trzy znachorki w Muszynie, które również uprawiały leczenie przy pomocy magii. Chociaż ludzie korzystali z ich usług unikali tych kobiet, bo były one "nieczyste", zadające się z czartami, a więc czarownice. Ale o tym nie wolno było głośno mówić, bo "mądre" kobiety mogły się "srogo zemścić".

Mężczyźni w Muszynie raczej nie zajmowali się leczeniem, pozostawiając tę profesję kobietom. Niemniej jednak, znani byli znachorzy wśród baczów wołoskich, którzy w okolicznych górach doglądali juhasów wypasujących owce i bydło. Muszynianie często korzystali z usług baczów wołoskich czy słowackich w leczeniu chorób.

Część z wymienionych zwyczajów i obrzędów rodzinnych zachowała się do dnia dzisiejszego. Kulturowane są głównie w domach, gdzie żyją starsi ludzie, którzy doskonale pamiętają te wszystkie obrzędy i dla podtrzymania tradycji starają się je jeszcze kontynuować w swoich rodzinach.

Przypisy

- 1 *Zwyczaje i wierzenia dawnych mieszkańców Muszyny*, wyd. Cyril and Methadius Club, 1997, s. 2.
- 2 Kmiotowicz F., *Wierzenia i zwyczaje dawnych mieszkańców Muszyny*, Montreal 1996, s. 28.
- 3 Kmiotowicz F., *Czarownica*, Londyn 1956, s. 20.
- 4 Kmiotowicz F., *Dzieje Muszyny*, Katowice 1987, s. 14.
- 5 Tamże, s. 57.
- 6 Kmiotowicz F., *Legends muszyńskie*, w: "Almanach Muszyny" 1995, s. 76-78.
- 7 Kmiotowicz F., *Zwyczaje i wierzenia dawnych mieszkańców Muszyny*, w: "Almanach Muszyny" 1996, s. 38-40.
- 8 Kmiotowicz F., *Dzieje...*, s. 58.

RYS HISTORYCZNY TYMBARKU I OKOLICZNYCH WSI

Pierwszy niekwestionowany, pisemny dokument o miejscowości Tymbark pochodzi z 1353 roku. Jest to wydany przez króla Kazimierza Wielkiego akt, na mocy którego założono (na prawie magdeburskim) miasto o nazwie Jodłowa Góra. O lokalizacji osady na tym miejscu przesądziły dobre warunki obronne, ponieważ była ona usytuowana na wysokiej skarpie między rzekami Łososiną i Słopnicą, wśród wzniesień Zęzowa, Paproci i Łopienia.

Prawdopodobnie większość pierwszych osadników nowo założonego miasta była pochodzenia niemieckiego, co było powodem zmiany nazwy miasta na Tannenberg (pierwszy wójt Kunado był z pochodzenia Niemcem). Nazwa ta przez trzy wieki spolszczana przyjęła ostatecznie w XVII wieku brzmienie Tymbark.

Miasto Tymbark założono głównie w celu zagospodarowania okolicznej puszczy, nie przynoszącej wcześniej prawie żadnych korzyści skarbowi państwa. W okresie od założenia do XVI wieku miasto służyło także jako stacja noclegowo-popasowa przy drugorzędnym szlaku handlowym z Krakowa przez Dobczyce i Nowy Sącz na Węgry. Aby umożliwić pierwszym osadnikom zagospodarowanie się, król zwolnił ich na dwadzieścia lat od wszelkich świadczeń na rzecz swojego skarbu. Miastu nadano sądownictwo formuły niemieckiej, zgodnie z którym wójtowie odpowiadali bezpośrednio przed królem. W pierwszej połowie XVI wieku dobrami tymbarskimi zarządzali urzędnicy królewscy, zwani wielkorządcami. Urząd wójta pełnili w tym czasie kolejno członkowie rodziny Jordanów z Zakliczyna.

Od początku drugiej połowy XVI wieku aż do czasu rozbiorów Polski Tymbark wraz z przyległymi do niego wsiami (Jasna, Podłopień, Słopnice Królewskie, Zamieście i Zawadka) jako klucz dzierżawny pozostawał w zarządzie starostów. Często wówczas tworzyć w okolicy folwarki, a starostowie zwiększali ciężary wobec swoich poddanych. Podczas gdy w pierwszej połowie XVI wieku pańszczyzna obowiązywała w wymiarze półtora dnia na tydzień, to w drugiej połowie tegoż wieku wzrosła do trzech dni, by w XVII wieku sięgnąć czterech, pięciu dni tygodniowo. Chłopi byli zmuszani także do dalekich wyjazdów (głównie do Wieliczki), w celu sprzedaży zboża. W tym okresie mieszkańcy miasta i przedmieść posiadali mniejsze nadziały ziemi niż chłopi w okolicznych wsiach. Były to na ogół gospodarstwa zagrodnicze o powierzchni 1–4 ha.



Rynek w Tymbarku. Fot. A. Łomzik

Pod koniec pierwszej połowy XVI wieku przywilejem króla Zygmunta Starego wprowadzono w Tymbarku cotygodniowy targ i dwa jarmarki rocznie. Mimo to Tymbark miał bardziej wiejski niż miejski charakter, a ludność utrzymywała się głównie z uprawy zboża (zwłaszcza owsa i żyta oraz w niewielkim stopniu pszenicy). Uprawiano także, między innymi, konopie, brukiew, groch, kapustę i rzepę. Spośród zwierząt gospodarskich chowano bydło, owce i świnie. Ze względu na potrzebę sprzężaju niemal powszechnie utrzymywano woły i konie.

Głównym bogactwem ziemi tymbarskiej pozostawał las i jego pożytki. Z lasu pozyskiwano zwłaszcza miód i owoce leśne, z drewna leśnego wyrabiano znakomite gonty, a z popiołu spalonych drzew wytwarzano saletrę, którą następnie przerabiano na proch strzelniczy.

Gospodarka Tymbarku w XVI wieku stała na niskim poziomie. Oprócz dobrze funkcjonującego młyna, w mieście pracowało tylko czterech rzemieślników. Zarówno potrzeby mieszczan (było ich wtedy około 150), jak i okolicznych chłopów były niewielkie, stąd i handel między nimi był znikomy.

Tymbark wraz przedmieściami oraz wsiami Jasna, Podłopień i Zawadka był jedną z mniejszych parafii (kilkuset wiernych) dekanatu Dobczyce. Reformacja szerząca się w państwach Europy zachodniej i środkowej, także i w Polsce, nie znalazła podatnego gruntu w ziemi tymbarskiej.

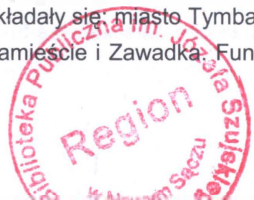
Od 1551 do 1629 roku, (z małą przerwą) starostami ziemi tymbarskiej byli Lubomirscy, następnie przez prawie sto lat Wyżycy, a od 1724 roku aż do rozbiorów dziedzicami Tymbarku byli Dembowscy.

Z epidemii, które nawiedzały Tymbark, ogromne spustoszenie przyniosła zaraza w latach 1651–1652. Wkrótce nieszczęścia dopełnił "potop" szwedzki. Straty tak w ludziach jak i w gospodarce były ogromne. Proces odbudowy miasta i przynależnych do niego wsi był bardzo powolny. Aby podnieść siłę gospodarczą Tymbarku, król Michał Korybut Wiśniowiecki dodał miastu do przywileju Zygmunta Starego z 1543 roku kolejne dwa jarmarki.

Pod koniec XVI wieku założono w Tymbarku szkołę parafialną i szpital. Pod względem wyznania i narodowości ludność Tymbarku była w omawianym okresie niemal jednolita. Tylko na terenie browaru zamieszkiwała nieliczna grupa Żydów.

Tymbark od chwili założenia aż do rozbiorów odznaczał się niskim poziomem rozwoju społeczno-gospodarczego. Opieką króla miasto cieszyło się tylko do połowy XVI wieku. Następnie pod rządami starostów było traktowane niemal wyłącznie jako przedmiot wyzysku. Brakowało należytych starań o rozwój rzemiosła i handlu, co nie sprzyjało też wzrostowi liczby ludności miasta.

W XVII i XVIII wieku na dzierżawę tymbarską o powierzchni około 45 km² składały się miasto Tymbark oraz wsie: Jasna, Podłopień, Słopnice Królewskie, Zamięście i Zawadka. Funkcjonowały wtedy dwa młyny, browar i trzy karczmy.



Wytwarzano tu nadal gonty i bednarkę, uprawiano rolę i chowano zwierzęta (w tym okresie najwięcej owiec).

Od końca XVII i przez cały wiek XVIII liczba mieszkańców Tymbarku wynosiła około 400 osób i przewyższała pod tym względem sąsiednią Limanową.

Po pierwszym rozbiórce Polski starostwo tymbarskie znalazło się w zaborze austriackim i włączone zostało w 1813 roku do dóbr rządowych (kameralnych). W 1830 roku posiadłość tymbarska została sprzedana i pozostawała do końca II wojny światowej w prywatnych rękach. W okresie zaborów urzędy miejskie w Galicji obsadzane były często przez Austriaków lub ziemczonych Czechów. W Tymbarku udało się tego uniknąć, chociaż życie społeczno-gospodarcze miasteczka i okolic niewiele się w tym czasie zmieniło. Zachowano cotygodniowe targi i cztery jarmarki rocznie. Występowały podstawowe rzemiosła (szewstwo, kowalstwo, garbarstwo, krawiectwo, stolarstwo, gorzelnictwo, młynarstwo, szklarstwo itp.).

W pierwszym dwudziestoleciu po akcie uwłaszczenia chłopów nie zaobserwowano ożywienia gospodarczego w Tymbarku i jego okolicy. Nadto wielki pożar w 1852 roku zniszczył prawie 1/3 miasteczka.

Dopiero od lat siedemdziesiątych XIX wieku zauważyć można powolny, ale wyraźny rozwój społeczno-gospodarczy ziemi tymbarskiej. W 1873 roku powstała w Tymbarku (jako jedna z pierwszych w powiecie limanowskim) gminna kasa pożyczkowa. W tym samym roku uruchomiono w miasteczku również urząd pocztowy. Wraz z oddaniem linii kolejowej Chabówka – Nowy Sącz w 1885 roku założono w Tymbarku telegraf. Połączenie kolejowe umożliwiło wielu mieszkańcom Tymbarku i okolic wyjazdy (najczęściej do Budapesztu) w poszukiwaniu pracy. W 1900 roku założono wodociągi, a w roku 1905 powstała spółdzielnia oszczędnościowo-pożyczkowa.

Na początku XX wieku nastąpił widoczny rozwój szkolnictwa powszechnego. W roku 1909 w szkole tymbarskiej były cztery klasy, a w 1914 pracowało w niej ośmiu nauczycieli. Przeciętny mieszczanin tymbarski odznaczał się w tym czasie raczej mentalnością chłopską, a tylko nieliczni (bogatsi) próbowali naśladować styl życia szlachty. Dominowała wyraźnie kultura ludowa. Ludność okoliczna należała do grupy Lachów Limanowskich. Mieszały się tutaj wpływy ludowej kultury Górali i ludności Pogórza.

Podczas I wojny światowej Tymbark był terenem przemarszu wojsk austro-węgierskich i rosyjskich. W okolicy zginęło wielu walczących żołnierzy. Koniec wojny przyniósł Galicji Zachodniej niepodległość.

Rolnictwo ziemi tymbarskiej w okresie międzywojennym stało na niskim poziomie. Chłopskie gospodarstwa rolne były na ogół bardzo rozdrobnione. Biedę galicyjską na wsi pogłębiały kryzysy ekonomiczne oraz inflacja i bezrobocie.

W okresie międzywojennym, w 1934 roku, z powodu małej liczby mieszkańców Tymbark utracił prawa miejskie.

Przed II wojną światową w mieście i okolicy czynne były 22 sklepy, 4 marnie, a co drugi poniedziałek urządzano jarmarki. Założona jeszcze w 1905 roku spółdzielnia oszczędnościowo-pożyczkowa początkowo nazywała się kasą Reiffeisena, a następnie kasą Stefczyka. Po 1945 roku zastąpiona została przez Bank Spółdzielczy powołany w celu gromadzenia oszczędności i udzielania kredytów swym członkom, gwarantując stuprocentowy zwrot oszczędności i odsetek. W 1968 roku Bank Spółdzielczy otrzymał nowoczesny budynek.

W 1927 roku powstała Spółdzielnia Mleczarska. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych zorganizowano kółko rolnicze, a w 1936 roku utworzono Spółdzielnię Rolniczo-Spożywczą, przemianowaną w 1942 roku na Spółdzielnię Rolniczo-Handlową "Skiba." Na bazie tej spółdzielni utworzono po II wojnie światowej Gminną Spółdzielnię "Samopomoc Chłopska".

W 1936 roku założono z inicjatywy wielkiego społecznika i działacza ludowego, absolwenta studiów rolniczych Uniwersytetu Jagiellońskiego, a wówczas nauczyciela Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej, inż. Józefa Marka, najważniejszą z punktu widzenia rozwoju Tymbarku i okolic Podhalańską Spółdzielnię Owocarsko-Warzywniczą. Pod kierownictwem tego niestrudzonego człowieka opracowano również kompleksowy program działania w zakresie ogrodnictwa, sadownictwa, szkółkarstwa oraz skupu, przechowywania i przetwarzania owoców i warzyw. Spółdzielnia ta podniosła poziom kultury rolnej w okolicy i zapewniła pracę wielu osobom. Tymbark zawdzięcza jej zagospodarowanie południowego zbocza Zężowa, zbudowanie dzielnicy mieszkaniowej, uruchomienie zespołu szkół średnich z internatem. Podstawowym kierunkiem kształcenia tej szkoły było przetwórstwo owocowo-warzywne.

W pierwszych latach istnienia Podhalańska Spółdzielnia Owocarsko-Warzywnicza przerabiała głównie jabłka i runo leśne, a po upaństwowieniu owoce jagodowe (porzeczkę, zwłaszcza czarną i w niewielkim stopniu agrest), wytwarzając znakomite soki.

Po 1945 roku w Tymbarku założono również Spółdzielnię Zdrowia, Spółdzielnię Obrotu Zwierzętami Rzeźnymi i Spółdzielnię WYROBU MATERIAŁÓW BUDOWLANYCH. Ta duża liczba utworzonych (głównie z inspiracji członków ruchu ludowego) i działających spółdzielni sprawiła, że Tymbark uważano na polu Polski za miejscowość o najbardziej rozwiniętej spółdzielczości.

W 1947 roku przeprowadzono w Tymbarku elektryfikację. Duże znaczenie dla rozwoju tego regionu miał także powstały tu tartak, zatrudniający ponad 100 osób. Mimo rozwiniętego przemysłu i rzemiosła, znaczącym źródłem utrzymania ludności gminy Tymbark było i jest nadal rolnictwo.

Do najcenniejszych zabytków Tymbarku należą kościół parafialny pochodzący z I połowy XIX wieku (1824 rok), a także kaplica z początku XIX wieku w przysiółku "Na Górach".

Maria Kowalska

JAN BIEDROŃ

Przed I wojną światową Jan Biedroń był znanym działaczem ludowym w Galicji. Często przyjeżdżał do swojej rodzinnej wsi Lipowe koło Limanowej, gdzie znał z imienia i nazwiska każdego mieszkańca. Jedną z ulic w Lipowem (dzisiaj teren miasta Limanowa) nazwano jego imieniem.

Jan Biedroń urodził się 2 lipca 1863 r. Jego ojciec Walenty był rolnikiem, a prócz tego wójtem we wsi Lipowe i sekretarzem gminnym w parafii limanowskiej. Gospodarstwo rolne przynosiło niski dochód, dlatego rodzina Biedroniów żyła w skromnych warunkach materialnych. Spośród sześciorga dzieci Jan był najzdolniejszy. Po ukończeniu szkoły podstawowej w Limanowej podjął dalszą naukę w gimnazjum w Nowym Sączu. Za korepetycje opłacił sobie tam mieszkanie i zakupywał książki, natomiast rodzice dostarczali mu bardzo skromnego prowiantu, m.in. ziemniaków, placków owsianych. Gimnazjum ukończył z wynikiem celującym, a to zachęciło go do dalszej nauki. Studiował w Wyższej Szkole Rolniczej w Dublanach koło Lwowa (późniejszej akademii). Brak jest informacji o tym, kto wtedy pomagał mu finansowo, można tylko przypuszczać, że jako zdolny student otrzymywał stypendium. Uczelnia wysłała go na praktykę do Czech, Niemiec i na Morawy, gdzie rolnictwo stało na wysokim poziomie w porównaniu z zacofaną Galicją. Wkrótce po ukończeniu studiów otrzymał posadę inspektora mleczarstwa na cały zabór austriacki w Wydziale Krajowym we Lwowie. W tym czasie ożenił się, lecz o jego żonie nie mamy bliższych informacji. Wiadomo tylko, że małżeństwo to było bezdzietne. Ponieważ jednak siostra Jana Biedronia – Rozalia Drożdżakowa – miała jedenaścioro dzieci, wobec powyższego Biedroniowie wzięli na wychowanie jedno z nich, Marię, która miała wówczas 5 lat.

Przetwórstwo mleka nie istniało w tym czasie w Galicji, a zatem Jan Biedroń musiał zaczynać swoją pracę od podstaw. Założył nowoczesną mleczarnię w Przemyślu, którą prowadziła jego żona. Mleko dostarczano do niej z okolic Przemyśla m.in. z Krasiczyna. Wyrób masła i serów odbywał się w obecności kupujących. Mleko i produkty mleczne sprzedawano w sklepie higienicznie urządzonej. Biedroń założył też spółkę mleczarską w Mstowie, mleczarnię w Tęgoborzu, a w 1890 r. mleczarnię w Strzeszycach. Bolał nad nędzą ludzi wiejskich, starając się ulżyć ich doli. Z tego powodu ciągle był w podróży, urządzając wiece, zebrania, odczyty na tematy rolnicze, kursy mleczarsko-rolnicze. Zakładał kółka rolnicze, kasy Stefczyka, spółki mleczarskie; pisał też artykuły i książki rolnicze bardzo prostym językiem, aby chłopcy mogli zrozumieć zawarte w nich treści. Wkładał w to wszystko wiele własnych pieniędzy. Pragnął uświadomienia politycznego chłopów, nauczania włościństwa właściwej i efektywnej pracy na roli. Jego troska o chłopów nie podobała się urzędnikom Wydziału Krajowego we Lwowie. Byli to głównie właściciele ziemscy, należący do obozu konserwatywnego, których ciężki los włościństwa nie interesował. Zarzucano Biedroniowi, że bardziej dba o chłopów niż o sprawy rządu. Za to, że własne pieniądze wydawał na potrzeby ludu, zyskał opinię łatwowiernego, lekkomyślnego, bujającego w obłokach. Niezbyt się tym przejmował, uważał się za człowieka wolnego i myślał jak chciał. Tym niemniej pod wpływem ataków na swoją osobę zrezygnował z posady inspektora. Miał z czego żyć, ponieważ mleczarnia przynosiła mu wystarczające dochody.

Pomimo, że Biedroń dużo pracował społecznie, zawsze miał czas dla swojej wychowawcy Marii. Często opowiadał jej o swoim dzieciństwie we wsi Lipowe, o swoich rodzicach, o mieszkańcach Limanowszczyzny, o warunkach wiejskiego życia. Choćby o tym, jak kobiety wiejskie sprzedawały na targu produkty z własnego gospodarstwa: jajka, sery, masło, za co kupowały dzieciom buty i ubrania, a także sól, cukier i naftę do lamp. Panie z miasta targowały się z nimi i jeśli tanio wszystko sprzedały, nic wiele do domu nie przyniosły. Biedroń uczył swoją żonę, aby nie targowała się z kobietami ze wsi, tylko dawała im jeszcze o 50 centów więcej. Kochał ziemię limanowską, nazywając ją "polską Szwajcarią". Józef Strug pseudonim Piotr Lipowiak, poeta ludowy z Lipowego, osobiście znał Jana Biedronia i w swoim pamiętniku o nim napisał: "W 1884 r. Jan Biedroń, tutejszy krajan, założył w Lipowym kółko rolnicze. Zapisali się do niego 18 członków. Wśród nich znalazłem się i ja. Posiadało ono 80 książek,

które co pewien czas przez założyciela były wymieniane. Miało też dwa tygodniki: "Wieniec" i "Pszczółkę" (potem połączyły się i wychodziły jako "Wieniec i Pszczółka") oraz "Niedzielę". Każdy z członków czytał przez jedną niedzielę kolejny numer tych czasopism. Do tego czytania ustalona była kolejka. Ja byłem czwarty (...). Przedtem żaden tutejszy chłop nic nie czytał. Odtąd zaczęła się poprawa w rolnictwie i polityka".

Jan Biędroń założył również kółko rolnicze w Żmiącej, które rozpoczęło działalność dopiero w 1899 r. Organizował dla chłopów limanowskich wyieczki: w 1883 r. do Krakowa z okazji 200-lecia odsieczy wiedeńskiej, a w 1894 r. do Lwowa na wystawę krajową.

W 1903 r. Biędroń sprzedał mleczarnię w Przemyślu i przeniósł się do Lwowa, gdzie prowadził od 1905 r. spółkę maszyn rolniczych. Wkrótce potem wyjechał na stałe do Krakowa. Tam wiele publikował i to było źródłem jego utrzymania. Od czasów studenckich związany był z ruchem ludowym, a po założeniu Stronnictwa Ludowego w 1895 r. został jego członkiem (od 1913 r. PSL Lewicy).

Swoją wychowanicę Marię posłał do szkoły buchalteryjnej (handlowej), którą ukończyła w 1908 r. Wdzięczna była wujowi za wszystko i w swoich wspomnieniach tak o nim napisała: "Jan Biędroń był moim wujem. Od piątego roku życia byłam przez niego chowana. Chodził z moim ojcem Frankiem Drożdżakiem do jednej klasy. Franek był zamożniejszy, nosił do szkoły biały chleb z masłem, a wuj placki owsiane. Robili zamianę: wuj jadł chleb, a ojciec placki. Potem nigdy nie zapomniał dodać, że za to, za ten dobry chlebuś, chowa jego córkę... Wychowując mnie wziął na siebie duży obowiązek. Wykształcił jak na owe czasy dość dobrze (...). Wuj twierdził, że wykształcenie fachowe muszę posiadać, by być samodzielną. Wysłał za mąż za Fryderyka Krasickiego, pracownika w redakcji «Przyjaciela Ludu», gdzie i ja pracowałam w administracji".

Pismo to było organem Stronnictwa Ludowego, a od 1913 r. PSL Lewicy. Wychodziło od 1889 r. we Lwowie, a od 1902 r. w Krakowie. Jego wydawcą i redaktorem w Krakowie był Jan Stapiński, prezes Stronnictwa Ludowego w latach 1908-1913, a potem PSL Lewicy w latach 1914-1924.

Od 1906 r. Jan Biędroń był redaktorem stałego dodatku gospodarczego do "Przyjaciela Ludu". Stapiński obiecywał Biędrońowi, że w wyborach

w 1911 r. umieści go na liście kandydatów na posła z powiatu limanowskiego. Obietnicy nie spełnił, przez co sprawił Biedroniowi przykrość. Może brał pod uwagę wciąż pogarszający się stan jego zdrowia. Z całą pewnością jednak cenił go bardzo i podczas choroby wciąż odwiedzał w mieszkaniu krakowskim wraz z innym posłem Stronnictwa Ludowego, Jakubem Bojką. Rozgoryczony niepowodzeniami na gruncie politycznym wyjechał Biedroń w 1913 r. do Strzyżowa nad Wisłokiem, gdzie objął posadę kierownika spółki maszyn rolniczych i nasion. Nadal związany był z PSL Lewicą i w 1914 r. został wybrany na członka Rady Naczelnej tej partii. Rolnicy ze Strzyżowa byli zadowoleni z przyjazdu Biedronia, bo zyskali fachowca od spraw rolnych. Niestety, nadal tam chorował i wkrótce zmarł, co stało się 23 kwietnia 1915 r.

Jan Biedroń był znakomitym znawcą realiów gospodarczych na terenie wszystkich zaborów. W Wyższej Szkole Rolniczej w Dublanach, którą ukończył, większość studentów stanowiła młodzież z Królestwa Kongresowego, natomiast młodzież z Galicji była reprezentowana stosunkowo skromnie. To mówiło samo za siebie, tłumaczyło, dlaczego w Galicji sprawy rolnicze przedstawiały się najgorzej. Stan ten opisał Jan Biedroń w swojej książce *Zielony Sztandar. Uwagi o sprawach rolniczych*, Kraków 1908. Autor dowodził, że długo w Galicji nie było żadnego zainteresowania rolnictwem wśród szlachty dworskiej, a chłopci pozostawieni sami sobie źle gospodarowali z powodu braku wiedzy rolniczej. Nie ukazywało się ani jedno fachowe pismo rolnicze, które dostarczałoby praktycznych rad odnośnie uprawy ziemi i hodowli bydła. Żaden zorganizowany zbytek płodów rolnych ani ich przetwórstwo nie istniały, nie było też ani jednej mleczarni. W zbyciu płodów rolnych pośredniczyli jedynie Żydzi i czerpali z tego duże zyski, chłopci na tym wiele tracili. Z powodu niskich dochodów z gospodarstw i braku pracy znana była powszechnie galicyjska bieda. Pod koniec XIX w. i na początku XX w. młodzież wiejska masowo wyjeżdżała do Stanów Zjednoczonych i do Niemiec w poszukiwaniu pracy. Za zły stan rolnictwa winę ponosiła szlachta dworska. Właściciele dużych majątków ziemskich kształcili swoich synów na lekarzy, prawników. Kiedy Galicja uzyskała autonomię w latach 1867-1873, obsiedli wszystkie polskie urzędy we Lwowie i w innych miastach galicyjskich. Zamiast sprawami gospodarczymi, interesowali się głównie polityką, natomiast los chłopów ich nie obchodził. Między tymi dwoma klasami społecznymi istniała przepaść, pośredniczyli między nimi jedynie Żydzi. Kto nie znalazł dla siebie posady, wracał do swoje-

go majątku i gospodarował, nie mając pojęcia o uprawie ziemi i hodowli bydła. Zamiast uzyskiwać dochody, tacy właściciele ponosili straty. W tej sytuacji parcelowali swoje majątki i sprzedawali, bądź wydzierżawiali Żydom. Utrzymywały się jeszcze tylko olbrzymie majątki, natomiast małe znikają z każdym dniem.

Rolnicy z wyższym wykształceniem pracowali przy urzędach, zamiast przy gospodarstwach. Na inspektora szkół rolniczych, zamiast rolnika, powołano botanika. Fachowi rolnicy nazywali go "szkodnikiem polnym". Nieliczni tylko właściciele majątków dobrze gospodarowali. Do takich należał Franciszek Mysielski z Wiśniowej. Za mleko miał 50 koron rocznie z morgi ziemi. Znany był z wyrabiania dobrych serów groyer. Za jego staraniem rząd utworzył przy Uniwersytecie Jagiellońskim Wydział Rolniczy, lecz słabo go wyposażył. Nie było nawet stacji doświadczalnej, bardzo potrzebnej do właściwego rozwoju rolnictwa. Sprowadzane z zagranicy ziarna zbóż siewnych nie były dostosowane do naszego klimatu. Większość właścicieli ziemskich nie dążyła do specjalizacji produkcji, dlatego przetwory z mleka i zboża sprowadzano z zagranicy. Masło sprowadzano z Czech, Moraw, Węgier, Szwajcarii i Francji, chleb z Moraw, mąkę z Węgier, nasiona rolnicze z Francji, mleko i śmietanę z Królestwa Kongresowego. Tymczasem z Galicji wysyłano do Niemiec tysiące wagonów słomy, siana, koniczyny, otrąb na pasze dla zwierząt.

Jan Biedroń chciał swoją bogatą wiedzę z zakresu rolnictwa przekazać chłopom i tu z pomocą przyszła mu redakcja "Przyjaciela Ludu". Od 1890 r. ukazywały się w tym piśmie jego artykuły na tematy gospodarcze. Od tego roku był też stałym wydawcą fachowych kalendarzy rolniczych pt. "Gospodarz", zalecanych przez "Przyjaciela Ludu". W 1890 r. ukazały się drukiem jego broszury: *Jak gospodarować w roku nieurodzaju*, *O nawozie stajennym*, *O prowadzeniu rachunkowości w gospodarce włościańskiej*.

W czasie swojego pobytu w Przemyślu był redaktorem "Przeglądu Mleczarskiego" 1896 R. I; w latach 1901-1904 wydawał tam fachową gazetę rolniczą "Gospodarz".

W 1911 r. wydał broszurę pt. *Nowe odmiany ziemniaków*. Wiele miejsca poświęcił w niej osobie Dołkowskiego z Nowej Wsi pod Kętami, który wyhodował nowe, dobre odmiany ziemniaków. Niestety, bardziej interesowali się nimi Niemcy niż rolnicy z Galicji. Biedroń wspominał też o Kurczabie ze Sowlin koło Limanowej, który wyhodował niegnijące ziemniaki.

Po latach Maria Krasicka w swoich wspomnieniach o wuju napisała: "Był to człowiek o wybitnej inteligencji, zdolny organizator, całą duszą oddany ludowi, nie umiejący chodzić w zaprzęgu".

O ZAKŁADZIE FOTOGRAFICZNYM JÓZEFA ZACHARSKIEGO

W 2003 r. zacznie się drugi wiek działalności wymienionego w tytule zakładu. Rzadko kiedy zdarza się, aby w jednej rodzinie tak długo kontynuowano wykonywanie jednego zawodu. Moja krótka opowieść o tradycjach fotograficznych w rodzinie Zacharskich oparta jest na kilku źródłach pisanych, do których udało mi się dotrzeć, ale najwięcej wiadomości zdobyłam w czasie rozmów z obecnym właścicielem zakładu, prawnukiem Józefa Zacharskiego.

Zacznijmy zatem od początku. Józef Zacharski (ur. w 1874 r.) swój pierwszy zakład fotograficzny założył



Józef Zacharski

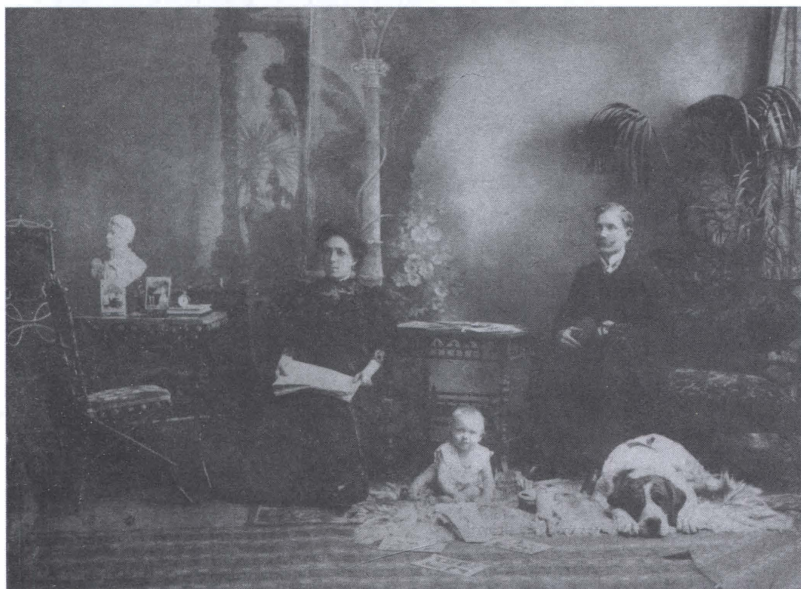
w 1903 r. w Bochni "w miejscu renomowanego i dobrze znanego zakładu fotografa Feliksa Kulikowskiego". Tenże Feliks Kulikowski przeniósł się ze swoim zakładem w inną część Bochni, gdzie urządził nowe atelier. Wiadomo skądinąd, że "jakość wykonywania zdjęć w obydwu zakładach bocheńskich była na ówczesne lata na jednym wysokim poziomie", a zatem wniosek stąd, iż Józef Zacharski miał "żyłkę" i serce do fotografowania, a także sporo ochoty do tego, by poszerzyć swoją działalność zawodową. Dowodzi tego fakt, że jeszcze w tym samym 1903 r. założył zakłady fotograficzne w Nowym Sączu i w Zakopanem. W Bochni utrzymywał przez dwa lata jedynie filię, którą prowadził bardzo zdolny młody fotograf Władysław Gargul, rychło zresztą wspólnik Zacharskiego, a następnie jedyny właściciel tego zakładu. Józef Zacharski nadal jednak odwiedzał zakład w Bochni, zlecał wykonywanie zdjęć artystycznych, przyjaźnił się też z byłym wspólnikiem przez długie lata.



W Nowym Sączu jednym z pierwszych fotografów był Tadeusz Andrzejewski. Jego zakład był odnotowany w 1890 r. To on zostawił najwierniejszy obraz ratusza sądeckiego, który spłonął w 1894 r., potem zaś wykonał cały cykl zdjęć resztek magistratu po pożarze. W tamtym czasie mieszkańcy naszego miasta korzystali z usług fotografów przyjezdnych, którzy przybywali z Wiednia i Krakowa. Pierwszym zakładem stacjonarnym, notowanym od 1 sierpnia 1896 r., był zakład Ignacego Stadnyka (późniejsza "Janina"). Niedługo potem Józef Zacharski odkupił w Nowym Sączu zakład Michała Friedmana, który mieścił się naprzeciwko sądeckich plant, na tyłach kamienicy przy ul. Jagiellońskiej 34. Powodem sprzedaży zakładu przez Friedmana był zatarg między nim a "Janiną" odnośnie cen i jakości wykonywanych zdjęć.

Trzeba wiedzieć, że fotografia w tym czasie była nową specjalnością zawodową, nie zaliczaną do rzemiosła. Sytuację tę zmieniono i uregulowano dopiero w 1927 r., kiedy to sejm ustanowił nowe prawo przemysłowe. Wcześniej jednak (co pod hasłem: "Nowy Sącz" poświadcza *Skorowidz Przemysłowo-Handlowy Królestwa Galicyi z 1913 r.*) w naszym mieście znajdowały się dwa zakłady fotograficzne: wspomnianego już Ignacego Stednyka ("Janina") i właśnie Józefa Zacharskiego.

Józef Zacharski w latach trzydziestych przeniósł swój zakład fotograficzny na nowe miejsce przy ul. Jagiellońskiej 46. Zbudował w tym miejscu wolno stojące atelier, na ówczesne czasy bardzo nowoczesne. Zastosował oszklenie ściany północnej i części dachu, po to by uzyskać bardziej rozproszone światło, dozowane ponadto systemem ruchomych płóciennych przesłon umieszczonych wewnątrz. Oprócz tego stosował ciekawe akcesoria, na przykład: kufle z pieniącym się piwem, czy też rower, który na stałe przytwierdzony był do podłogi. Tła stosowano różne; mogły nimi być sceny plenerowe, ale potrafiąco też improwizować wykorzystując codzienne sprzęty domowe, które służyły do tworzenia sielankowych klimatów domu rodzinnego.



Państwo Józef i Amalia Zacharscy z córeczką Marią



Córki państwa Zacharskich

Po śmierci młodszej córki państwa Zacharskich, a następnie śmierci żony Józefa Zacharskiego, Amalii, młodsza z córek – Maria – wychowywana była tylko przez ojca. Wychowywał córkę w duchu głębokiego patriotyzmu; przynależał z nią do sądeckiego "Sokoła". Mimo czasami zbyt oszczędnego pod

względem wydatków wychowania, Józef Zacharski nie żałował pieniędzy na naukę córki w Seminarium Haftu i Krawiectwa w Warszawie, co nie było zapewne przedsięwzięciem tanim. Po powrocie do Nowego Sącza Maria pracowała ucząc zawodu w nowo otwartej Krawieckiej Szkole Przemysłowej Żeńskiej, założonej przez Bolesława Barbackiego. Do zawodu fotografa przyuczył ją sam ojciec, u niego też, traktowana jak każdy inny pracownik zakładu, praktykowała.

Józef Zacharski, będąc już w podeszłym wieku, nie bardzo zadowolony z małżeństwa swej jedynej córki z Bielewiczem, wyprowadził się z Nowego Sącza do zakupionego dworku w Brzanie koło Bobowej, przekazując Marii swój zakład w roku 1937. Do końca życia przebywał w swej nabytej posiadłości wiejskiej, tam też zmarł i został pochowany na cmentarzu w Bobowej.

Maria Bielewicz w czasie okupacji niemieckiej wykazała wiele patriotyzmu. W swoim małym metrażowo zakładzie zatrudniała czterech pracowników kwalifiko-

wanych oraz (niejednokrotnie fikcyjnie) pięciu, sześciu uczniów, chroniąc w ten sposób młodych ludzi przed wywiezieniem na przymusowe roboty do Niemiec. Jej dom prywatny był zawsze otwarty dla potrzebujących pomocy, tak w czasie okupacji jak i po wojnie. Dzięki pracowitości i wpojonym przez ojca zasadom jej zakład utrzymywał wysoką renomę. Znany był ze swojej fa-



Rok 1914. Para ślubna – Zofia i Tomasz Zacharowiec

chowości i rzetelności. Pamiętam, że gdy moi rodzice potrzebowali nowych fotografii liczyły się dla nich tylko dwa zakłady: "Zacharskiego" (tak nadal się mówiło) oraz Henryka Rosenbeigera w Rynku, który nawiasem stwierdzając był synem chrzestnym Józefa Zacharskiego.

W 1964 r. Maria Bielewicz kupiła na własność kamienicę przy ul. Jagiellońskiej 34, ale zakład nadal pozostał na starym miejscu z szyldem: "Foto Józef Zacharski". Prowadziła zakład do 1976 r.

Schedę po niej przejęła jej córka Wiesława, która zmieniła dawny szyld na: "Foto Józef Zacharski – właściciel Wiesława Żak". Zgodnie z tradycją rodzinną również syn Wiesławy i Adolfa Żaków rozpoczął naukę zawodu fotografa w Policealnym Studium Fotograficznym w Katowicach, by po jego ukończeniu podjąć pracę wraz ze swoją matką w zakładzie rodzinnym, najpierw na starym miejscu, a po przenosinach w 1991 r., w lokalu przy ul. Jagiellońskiej 34. Właściwie to zakład powrócił na "stare śmieci" tylko bardziej elegancki i lepiej się prezentujący. Nadal jest zakładem lubianym, znanym z rzetelności, fachowości, tak jak tego wymaga stuletnia tradycja.

WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU – NATIONAL LOUIS UNIVERSITY

*Od redakcji:
Prezentowany artykuł publikowany jest w związku z 10. Rocznicą utworzenia w Nowym Sączu WSB–NLU, której obchody zainauguruje w dniu 8 maja br. uroczysta Sesja Rady Miasta. Materiał ten został przygotowany z myślą o projektowanej książce opisującej przypadki sądeckich inicjatyw gospodarczych uwiecznionych sukcesem. Jego druga część ukaże się w następnym numerze "Almanachu".*

1. NOWY SĄCZ I ZIELONA 27, W 1991 I 2001 R.

Rok 1991 w Nowym Sączu, podobnie jak w innych miastach Polski, był rokiem budzącego się kapitalizmu, powstawania prywatnych firm, głównie w handlu, rokiem postępującego upadku wielkich socjalistycznych przedsiębiorstw, rokiem wielkich nadziei dla wielu, oraz coraz większego strachu, wynikającego z bezrobocia, zagrażającego dużej części społeczeństwa przyzwyczajonego do ubogiej ale stabilnej egzystencji. W 1991 r. było już po bankructwie SZNA – (Sądeckich Zakładów Naprawy Autobusów), rozpoczął się proces upadłościowy NKB (Nowosądeckiego Kombinatów Budowlanego), trzecie zaczęły dwa sądeckie giganty zatrudniające tysiące robotników ZNTK (Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego) i SZEW (Sądeckie Zakłady Elektro-Węglowe). Stabilne zatrudnienie i spokój panował tylko w wielu urządach państwowych związanych z funkcją stolicy województwa nowosądeckiego. Dobrze się miały także sądeckie technika i szkoły zawodowe wypuszczające co roku setki absolwentów kształconych w wąskich specjalnościach, często całkowicie niepotrzebnych w nowych warunkach gospodarczych.

Na terenach obecnej WSB–NLU panowała niemal martwa cisza, zrujnowane budynki produkcyjne, zniewalający brak porządku, ruiny, wybite szyby, brud – stan, który można określić w przenośni krajobrazem księżycowym.

W roku 2002 – trudno mówić o jednym Nowym Sączu – z jednej strony duże bezrobocie (ponad 16%) stan psychicznej katastrofy i zagrożenia u pracowników wielu urzędów państwowych zagrożonych utratą pracy w związku z likwidacją województwa nowosądeckiego, permanentny stan zagrożenia ZNTK, z drugiej dość powszechna opinia w Polsce o Nowym Sączu jako jednym z najbardziej przedsiębiorczych polskich miast, kojarzonym z sukcesami sądeckich przedsiębiorstw; powszechna rozpoznawalność w Polsce kilku sądeckich firm, by wymienić tylko Optimus, Konspol, Fakro, Koral, GLC “Carbon”, Wiśniowski S.A. czy WSB–NLU.

Jeden ze śladów sądeckiego sukcesu prowadzi na ul. Zieloną 27, na teren zrujnowanego w 1991 r. NKB. Teraz można codziennie zobaczyć tu blisko 2 tysiące studentów stacjonarnych oraz ponad 200 pracowników WSB–NLU, odpowiednio zaadoptowane do celów edukacyjnych 2 stare budynki poprodukcyjne, zapierające dech zaplecze sportowe (by wymienić tylko 4 korty, w tym 2 kryte oraz nowoczesny fitness club), setki samochodów na kilku parkingach, także imponującą budowę nowego obiektu dydaktycznego o powierzchni ponad 6000 m².

2. TWARDE REALIA DZIAŁALNOŚCI CZŁOWIEKA, KTÓRY MA POWSZECHNIE UZNANY JAKO NIEZWYKLE POŻYTECZNY POMYSŁ, ALE NIE MA PIENIĘDZY NA JEGO REALIZACJĘ.

WSB–NLU doczekała się w ciągu dziesięciu lat swojej działalności ponad 100 publikacji prasowych, wielu programów telewizyjnych i audycji radiowych, ale autor case’u a zarazem twórca szkoły przedstawiając początki działania szkoły zawsze widzi w oczach interlokutora niedowierzenie, gdy opowiada o inspiracji do jej utworzenia. Bo choć przypadek jest niezwykły, jednak jest to prawdziwa historia. W 1989 r. zostałem wybrany do Senatu RP, w pierwszych wolnych wyborach, odzyskującej wolność, rodzącej się niepodległej Polski. Moim okręgiem wyborczym było województwo nowosądeckie. Kandydowanie było konsekwencją mojej wcześniejszej działalności społecznej, ale wynikało z głębokiego przekonania, że otrzymaliśmy jako Polacy niezwykłą szansę

i musimy z niej skorzystać. Sam zawsze próbowałem tworzyć instytucje i robić rzeczy użyteczne, tak więc od samego początku swojej działalności publicznej próbowałem rozpoznać największe potrzeby rodzącej się gospodarki wolnorynkowej i społeczeństwa demokratycznego. We wrześniu 1989 r. uczestniczyłem wraz z grupą polskich parlamentarzystów w kilkudniowej wizycie studyjnej w Niemczech. Wśród wielu instytucji pokazano nam niewielką ale niezwykle elitarną szkołę biznesu w Vallendar k. Koblenz. Prezentacja szkoły przedstawiona przez dyrektora zrobiła na mnie wielkie wrażenie – poprosiłem o krótkie spotkanie z grupą studentów – w czasie tej rozmowy ze studentami, którzy tłumaczyli mi dlaczego wolą płacić ogromne czesne (kilkanaście tysięcy marek rocznie) zamiast studiować za darmo na niemieckich państwowych uniwersytetach. Powiedziałem sobie wtedy, że muszę utworzyć taką szkołę w Nowym Sączu. To tyle, czy to była tylko inspiracja, czy to było aż olśnienie? – nie wiem, ale tak było. Wróciłem z Niemiec i zacząłem szukać ludzi, którzy mogliby mi pomóc, wiedząc jak to się robi i szukając wsparcia finansowego dla nowej inicjatywy. Często powtarzam obecnie, że jedną z przyczyn mojego sukcesu było to, że nie wiedziałem wówczas, że to co chcę utworzyć w Nowym Sączu jest z racjonalnych powodów niemożliwe do zrobienia. Ja nigdy nie pracowałem na uczelni, całe swoje życie zawodowe spędziłem w laboratorium badawczym w dużym zakładzie produkującym wyroby z grafitu. Nowy Sącz był pustynią akademicką, nie było żadnych zasobów ani materialnych ani finansowych, a co ważniejsze nie było na miejscu kadry naukowej i nie mieliśmy know-how. W 1990 roku przeprowadziłem dosłownie setki rozmów, odwiedziłem wiele ważnych gabinetów politycznych, wszędzie słyszałem: "Panie senatorze, to świetny pomysł" – tylko, że na tym się kończyło. Przełomem było spotkanie w Konfederacji Pracodawców Polskich Pera Gustava Nilssona – Szweda, mającego żonę Polkę, dobrze znającego polskie realia i język, doświadczonego konsultanta gospodarczego (bardzo zaangażowanego w polski proces transformacji), ale i mającego pewne doświadczenie akademickie. Ten człowiek wiedział jak powinna funkcjonować szkoła biznesu, gdzie zdobyć środki i z kim. Do tego dodać należy mój zmysł przedsiębiorczości i innowacyjność (dość naturalną u fizyka) i zapłać najbliższych współpracowników (zatrudnionych w tworzonej także przy moim udziale izbie gospodarczej). Niezwykle ważną rolę odegrał Kazimierz Pazgan – przedsiębiorca prywatny, twórca i właściciel słynnej firmy Konspol

przetwarzającej mięso z kurczaków, postać kultowa w sądeckim środowisku gospodarczym. Razem tworzyliśmy Izbę Gospodarczą a Kazimierz wsparł inicjatywę tworzenia szkoły biznesu w charakterystyczny dla siebie sposób – emocjonalnie, z sercem i ogromnym zaangażowaniem. Wszystkie decyzje konsultowałem w tamtych latach z Perem (nazywaliśmy go po polsku Piotrusiem) i Kazimierzem. Zdecydowaliśmy, aby uniknąć bezpośredniego mojego zaangażowania (byłem wówczas politykiem), że utworzymy specjalną fundację, która będzie prawnym założycielem szkoły. I tak się stało – zaprosiliśmy jako fundatorów naszych przyjaciół i w styczniu 1991 r założyliśmy w 27 osób Sądecko-Podhalańskie Centrum Szkolenia – fundację, której kapitał założycielski nie przekraczał 2 tys. dolarów. Decyzja była stanowcza – ruszamy ze szkołą od września 1991 r. Następne miesiące to był trudny okres poszukiwania ludzi zdolnych do poprowadzenia szkoły i prowadzenia zajęć, a zarazem okres poszukiwania pieniędzy. Pierwsze środki (na pomoc techniczną, tzn. zatrudnienie doradców) uzyskaliśmy dzięki P.G. Nillssonowi w szwedzkiej organizacji rozwoju międzynarodowego, a pierwsze (wówczas bezcenne) pieniądze na zakup sprzętu dydaktycznego otrzymaliśmy z likwidowanego wówczas Urzędu Postępu Technicznego i Wdrożeń, dzięki osobistej decyzji ówczesnego wicepremiera, prof. J. Janowskiego z AGH. Znacznie trudniej było z poszukiwaniem odpowiednich osób. Do prowadzenia zajęć z ekonomii i podstaw zarządzania namówiliśmy młodych pracowników naukowych AE w Krakowie, do nauczania języka angielskiego “zdobyłem” kilku wolontariuszy amerykańskich z programu “Peace Corps” i “Umbrella Project”, gorzej było ze znalezieniem szefa szkoły (przysłana nam w ramach programu pomocowego osoba z Kanady, mająca wspaniałe CV, nieomal nie zniszczyła naszej inicjatywy), a najgorzej było ze znalezieniem profesorów, którzy by potrafili uczyć biznesu, realnego marketingu, prawdziwych finansów. Bez kłopotu znaleźliśmy 64 kandydatów na studentów i ostatecznie, po dramatycznych niekiedy przejściach, uroczystie zainaugurowaliśmy rok akademicki 1 października na dziedzińcu pałacu Stadnickich w Nawojowej, podsąddeckiej miejscowości oddalonej 11 km od centrum Nowego Sącza.

3. OTRZEŻWIENIE I UCIECZKA DO PRZODU.

Kilkumiesięczny okres poprzedzający inaugurację roku pamiętam jako krótką chwilę czasu – tak duża była koncentracja różnorodnych działań pro-

wadzonych tylko przez 5 osób. Do tego dochodziła działalność parlamentarna, polityczna i wybory do senatu. Wygrałem je, ale znacznie mocniej pamiętam ten moment podczas uroczystej inauguracji w 1991 r., gdy stałem przed pałacem Stadnickich w gronie VIP-ów (m.in. był obecny ówczesny minister przemysłu prof. Andrzej Zawisłak, wiceminister w MEN senator Anna Radziwiłł i ambasador Szwecji) i patrząc na 64 osobową grupę studentów i ich rodziców z całą ostrością uprzytomniłem sobie, że ci młodzi ludzie uwierzyli mnie, mojej wizji, bo przecież szkoły tak naprawdę nie było. Była tylko wizja, pomysł, wiele ambicji. Powiedziałem wówczas sobie, że nie mogę za żadną cenę tych ludzi zawieść. Ten ostry moment, ten widok, wracał do mnie wiele razy w najbardziej kryzysowych momentach pierwszego etapu tworzenia szkoły. Następne miesiące można opisać delikatnie jako cudowny chaos ambitnych i pracowitych pionierów–amatorów. Okazało się, że nie wystarczy mieć doskonałych native-speakerów i doświadczonych nauczycieli języka, że trzeba mieć jeszcze program nauczania języków, który skutecznie, rok po roku, pozwoli na uzyskanie przez studentów końcowego efektu. Drugim poważnym powodem stresu była świadomość, że nauka biznesu to nie to samo co nauczanie ekonomii. Dopiero na trzecim miejscu stawałbym przejmujący brak pieniędzy i świadomość, że trzeba je gdzieś wyżebrać. Bardzo szybko zrozumiałem, że sami sobie nie poradzimy, że potrzebny jest przełom i że potrzebujemy partnera akademickiego, od którego przejmemy program studiów, ale i know-how oraz niezbędne procedury. Ani przez moment nie szukałem instytucjonalnego partnera w kraju – z wielu powodów, z których najprostszym było, że nikt rozsądny nie będzie tworzył dla siebie konkurencji, ale miałem także poważne wątpliwości czy polskie uczelnie są przygotowane do tego aby uczyć biznesu. Poszukiwania partnera akademickiego zacząłem w Chicago, to było naturalne dla senatora, którego wielu wyborców miało tam krewnych, bądź sami spędzali jakiś czas pracując w Chicago i okolicach. Nie próbowałem rozmawiać z największymi uczelniami z tzw. ligi bluszczonej (University of Chicago, Northwestern University), wiedziałem, że taki projekt ich nie zainteresuje. Szukałem (pomagali mi w tym polscy konsulowie pracujący w Chicago) małego raczej college'u, dla którego współpraca z uczelnią europejską mogła być jakąś szansą. Szczęśliwie się złożyło, że National Louis University dzięki inspiracji pracujących tam Polaków, głównie Bogdana Pukszy, szukało partnera akademickiego w Polsce. Przyczyna była racjonal-

na – wśród studentów NLU było dużo osób polskiego pochodzenia i NLU poprzez zaangażowanie w Polsce chciał poprawić swoją pozycję na rynku edukacyjnym. Pierwsza wizyta studyjna NLU w Polsce zakończyła się niepowodzeniem – polskie państwowe uczelnie nie były zainteresowane współpracą (mogły one wówczas wybierać pomoc najlepszych uniwersytetów na świecie – była moda na pomoc dla Polski). I tak wpadliśmy na siebie. Pierwsza wizyta przedstawicieli NLU miała miejsce w Nawojowej jeszcze w listopadzie 1991 r., a w lutym 1992 r. pojechaliśmy do Chicago wraz z Kazimierzem Pazganem, Perem G. Nillssonem i Ireną Peszko. Projekt umowy od początku był niezwykły, wychodził poza standardy współpracy akademickiej – wychodził, bo musiał, bo przecież nie było dwóch równoprawnych stron. Z jednej strony był porządny, prywatny uniwersytet ze 100-letnią tradycją, z drugiej idea (już przed wyborami 1991 r. oświadczyłem publicznie, że moim celem jest budowa najlepszej polskiej uczelni biznesowej) i grupa entuzjastów. Rozmowy lutowe były przełomowe – ze strony NLU prowadził je wiceprezydent uczelni dr Ed Risinger – historyk, człowiek, który miał poczucie misji jaką USA i instytucje amerykańskie mają do spełnienia w uwalniającej się od komunizmu Europie Środkowej. To jego odwadze zawdzięczam ostateczną treść umowy. Poruszaliśmy się cały czas w swoistej mgle, nie było przykładów wcześniejszych rozwiązań, musieliśmy sami je znaleźć. Ogromną rolę w czasie negocjacji odegrał Per G. Nillsson; był doskonałym negocjatorem, bardzo szybko zyskał zaufanie partnerów amerykańskich. To on i Ed Risinger spisali pierwsze wersje umowy i projekt statutu wspólnej fundacji, która miała się stać założycielem WSB–NLU. Mieliśmy głębokie przekonanie, że nie mamy czasu, że musimy przekształcić sądecki college w pełną szkołę wyższą jeszcze w 1992 r.; ostatecznie do podpisania umowy doszło 8 maja 1992 r w Nowym Sączu. Podpisanie umowy było częścią uroczystości obchodów 700-lecia Nowego Sącza. Umowę podpisywałem z prezydentem NLU dr Orley'em Herronem w sali obrad sądeckiego ratusza w obecności wielu dostojnych gości, w tym sześciu zaproszonych przeze mnie ambasadorów. Podpisaniu umowy towarzyszyła spora kampania medialna. Wówczas wykonaliśmy najdłuższy skok do przodu, który przeniósł nas w całkowicie nową rzeczywistość, to tamta umowa pozostaje główną przyczyną osiągnięcia dzisiejszej pozycji.

Mieliśmy już wówczas świadomość, że umowa jest nieprecyzyjna (i może prowadzić do sporów między partnerami), a cel główny współpracy – przenie-

sienie dyplomu NLU do Nowego Sącza jest raczej niemożliwy do osiągnięcia i nie mający żadnego precedensu w przeszłości. Jednak my nie mieliśmy wyboru. Warunkiem przetrwania szkoły była nowa jakość i tylko w tym wypadku mogłem skutecznie dążyć do osiągnięcia celu – szkoły biznesu nr 1 w Polsce. Sprawy formalne, tzn. uzyskanie uprawnień do prowadzenia studiów licencjackich poszły gładko. Dopiero w MEN ze zdumieniem dowiedziałem się, że nasza szkoła jest dziesiątą zarejestrowaną uczelnią prywatną (jednak tą wcześniejszą dziewiątkę tworzyły uczelnie warszawskie wraz z jedną poznańską). WSB–NLU była pierwszą uczelnią utworzoną w Polsce w małym mieście.

4. TRUDY I STRESY PIERWSZEGO OKRESU 1992–1995

Pierwszy oficjalny rok akademicki jako szkoła wyższa zaczęliśmy w październiku 1992 r. już nie sami i z nowym programem studiów. Nie było łatwo zaplanować realizację całego czteroletniego amerykańskiego programu studiów bakałarskich w 3 lata - typowe w Polsce dla programu studiów licencjackich, tym bardziej, że chciałem, aby program studiów biznesowych był uzupełniony o bardzo intensywną naukę języków obcych, szczególnie języka angielskiego (w pierwszych latach mieliśmy w trzyletnim programie studiów ponad 1200 godz. samych języków).

NLU przysłało nam do pomocy na cały rok trójkę swoich wykładowców, zarazem administratorów programu – dr Freda Widlaka (od biznesu), dr Alexa Koochanga (od informatyki) i Lizę Eret (od nauczania języka angielskiego). Amerykanie narzucili nam standardy swojego uniwersytetu – czasami uważaliśmy je za przesadne, ale dzisiaj oceniam, że przyjęcie tych standardów było ważnym elementem budowania przyszłego sukcesu. Najważniejszą wartością było przekonanie nas, że kluczową sprawą jest traktowanie studentów jako klientów z pełną konsekwencją, stąd od samego początku wprowadzona została stała anonimowa ocena wykładowców przez studentów, żelazna konsekwencja w realizowaniu programu studiów, jak również zasada nie odwoływania zajęć. Obecność wykładowców NLU pozwoliła też budować pozycję szkoły jako polsko-amerykańskiej.

Od początku 1992 było wiadomo, że pałac w Nawojowej (wynajmowaliśmy w nim ok. 1000 m²) jest zbyt mały, aby stał się docelową siedzibą uczelni. Zaczęły się poszukiwania. Po krótkim (na szczęście nieuda-

nym okresie starania się o przejęciu budowanego domu kultury w Zawadzie o porównywalnej powierzchni jak pałac) rozpoczęliśmy starannie ukrywane przygotowywania do złożenia oferty na przetarg związany ze sprzedażą przez likwidatora przedsiębiorstwa państwowego sześciopiętrowego budynku administracyjnego położonego w dzielnicy przemysłowej Nowego Sącza. Przygotowania trwały ok. pół roku i same w sobie mogłyby być dobrym opisem pewnego przypadku dla studentów. Kwota wyznaczona jako minimalna cena za budynek była dla nas oszałamiająca (550 mln starych złotych), więc pieniądze na kupno musiały pochodzić spoza uczelni. Pierwszą część środków mogliśmy wydatkować z otrzymanego przez nas dużego grantu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej (około 300 tys. DM), przeznaczonego głównie na wprowadzenie do szkoły nauki języka niemieckiego, ale pozwalającego użyć część środków na cele inwestycyjne. Dzięki tym środkom mogliśmy wpłacić wadium, pozostałe środki przyrzekła nam Krajowa Izba Gospodarcza, która chcąc wesprzeć naszą inicjatywę, postanowiła kupić budynek i przekazać go nam do nieodpłatnego użytkowania (w 1999 r. szkoła odkupiła budynek od KIG). Ostatecznie 28 grudnia 1992 r. komisja przetargowa uznała, że nasza oferta jest najlepsza (w załączonym do oferty programie przedstawiłem biznes-plan rozwoju szkoły i plan zagospodarowania całego terenu kombinatu budowlanego, co właśnie kończymy w 2002 r.) i postanowiła sprzedać nam (tzn. głównie KIG) ten budynek. To wywołało w Nowym Sączu duże zaskoczenie (wygraliśmy przetarg z najbogatszymi instytucjami w Nowym Sączu – m. in. Izbą Skarbową i KRUS), ale pozwoliło uzyskać oddech na kilka lat (w tym budynku można było kształcić min. 500 osób). Pierwsze zajęcia przy Zielonej 27 rozpoczęliśmy w części wyremontowanego budynku już w październiku 1993 r.

Ważnym czynnikiem rozwoju akademickiego uczelni stała się pomoc uzyskania dzięki grantowi USIA od drugiego amerykańskiego uniwersytetu – California State University (Fresno). Jak zawsze w takiej sytuacji za grantem stał konkretny człowiek – prof. Tomasz Wielicki, pracujący w szkole biznesu CSU. Od 1993/94 przez 3 lata w WSB–NLU kilkunastu doświadczonych amerykańskich profesorów wykladało ogółem 27 pełnych kursów biznesowych. To Amerykanie wprowadzili standardy nauczania, nowe techniki, aktywny (nie wykładowy) sposób prowadzenia zajęć, a prowadzenie zajęć przez prof. Wielickiego czy Garry Bryant'a w żywej legendzie absolwentów wciąż jest uważany za wzorcowy.

Od samego początku, tzn. od 1992 r., próbowaliśmy nawiązać współpracę z polskimi środowiskami gospodarczymi – szczególnie z szefami dużych, prywatyzowanych firm. Pomogła nam w tym realizacja dwóch seminariów dla szefów dużych firm, sfinansowanych przez elitarną europejską organizację European Round Table of Industrialists z Brukseli. Na wzór tych seminariów w następnych latach organizowaliśmy, wspólnie z profesorami z Fresno, następne kilkudniowe seminaria szkoleniowe dla szefów dużych przedsiębiorstw, uzyskując istotne środki finansowe (przeznaczone głównie na remonty i zakupy), ale również coś znacznie ważniejszego – rozpoznanie szkoły (i uznanie jej za “swoją”) przez liczącą się grupę najważniejszych polskich menedżerów.

Pierwsza bardzo mała jeszcze (tylko 17 osób) grupa absolwentów ukończyła szkołę w 1994 r., następne kilkudziesięciosobowe roczniki opuszczały uczelnię w następnych dwóch latach. Dzięki bardzo dobrej znajomości języków obcych (szczególnie angielskiego) oraz umiejętnościom wykorzystywania programów komputerowych, absolwenci bez problemów znajdowali pracę w prestiżowych firmach (głównie w Warszawie), a ich wiedza, umiejętności i postawy szybko zbudowały powszechną opinię o dobrym przygotowaniu do pracy absolwentów WSB–NLU.

Dużym utrudnieniem (a zarazem nieustannym stresem dla mnie) były nieporozumienia z władzami NLU, które pojawiły się niestety dość szybko, bo już pod koniec 1992 r. Ówczesni prezydenci NLU liczyli, że ich zaangażowanie w Polsce szybko zostanie zauważone przez amerykańskie koncerny rozpoczynające wówczas działalność w Polsce i że koncerny poprzez donacje zrekompensują finansowe zaangażowanie NLU w Nowym Sączu (głównie wynagrodzenia kadry NLU pracującej w WSB–NLU). Tak się niestety nie stało i to właśnie, a także obawa, że nierównowaga finansowa rozwijającej się szybko uczelni może doprowadzić do koniecznych finansowych zobowiązań NLU spowodowały, że władze NLU zaczęły ograniczać swoje zaangażowanie w Nowym Sączu. Ja obawiałem się najgorszego (szczególnie w 1994 r.) - zerwania umowy i wycofania się z przyznawania naszym absolwentom certyfikatów NLU potwierdzających realizację w Nowym Sączu pełnego bakalarskiego programu biznesowego. Do zerwania na całe szczęście nie doszło (głównie dzięki wsparciu nas przez dr E. Risingera oraz sympatii i cichemu poparciu ze strony wielu wykładowców), skończyło się “zimnym pokojem”

w latach 1994–1997 i pozytywnym przełomem po odejściu z NLU dr O. Herro-
na.

Cały okres 1992–1995 to okres nierównowagi finansowej, gdzie wpłaty
czesnego pokrywały zaledwie koszty realizacji procesu dydaktycznego,
a wszystkie inwestycje i zakupy, a także płace administracji musiały być finan-
sowane ze środków zewnętrznych. Częściowo środki te uzyskiwaliśmy z in-
tensywnej działalności szkoleniowej, częściowo dzięki donacjom ze strony
korporacji. Ta działalność fund-raisingowa była bardzo nieefektywna, wymaga-
ła bardzo dużo czasu i była skuteczna tylko przy małym, początkowym budżec-
cie. Przez kilka lat częstym tematem w dyskusjach był termin, w którym szko-
ła przekroczy tzw. break-even point, tzn. punkt zrównoważenia budżetu. Pa-
trząc z punktu widzenia skuteczności finansowej zaczęliśmy tworzyć szkołę
źle – najgorzej jak to było możliwe. Zamiast zacząć od przyjęcia na studia za-
oczne kilkusetosobowych grup studentów w pierwszych kilku latach, to my,
utrzymując relatywnie niskie czesne (1200 USD na rok), przyjmowaliśmy na
bardzo drogie studia stacjonarne kilkadziesiąt osób rocznie. Jednak skoncen-
trowanie się na wysokiej jakości studiów pozwoliło nam szybko zbudować
markę. Stopniowo podnosząc liczbę studentów (także na studiach zaocznych,
które uruchomiliśmy w 1994 r.) doprowadziliśmy do sytuacji zrównoważenia
budżetu w 1995 r., gdy koszty funkcjonowania szkoły zostały pokryte z cze-
snego, a udział wpłat z czesnego w całkowitej wartości budżetu wzrósł z 58%
w 1994 r. do 85% w 1995 r., a bezwzględne wpływy z czesnego wzrosły 2,5-
krotnie. Przez cały początkowy okres tworzenia szkoły priorytet w wydatkach
miały inwestycje poprawiające warunki studiowania (modernizacja obiektów,
zakupy wyposażenia), natomiast płace wykładowców i administracji były
wręcz niskie (aż do roku 1999/2000 płace pracowników dydaktycznych pokry-
wane były przez 30-36% wpływów z czesnego).

W 1994 r. musiałem podjąć najbardziej ryzykowną decyzję finansową (bo
podejmowaną w okresie, gdy budżet uczelni był niezrównoważony), podpisać
z likwidatorem NKB umowę o kupnie całej pozostałej części gruntów i objek-
tów firmy na Zielonej 27. Wynegocjowana została cena 11,2 mld starych zło-
tych (ok. 460 tys. USD) za 3,8 ha wraz z wieloma zrujnowanymi, niemożliwy-
mi do użytkowania budowlami, z pięcioletnim okresem spłat. Cena była stała -
spłaty kwartalne w równej wysokości (146 tys. zł na kwartał), bez względu na
inflację. Ta umowa wzbudziła mocne reakcje – sprawę przekazał do prokura-

torą jeden z prominentnych polityków NSZZ "Solidarność", uważając, że likwidator naraził na stratę skarb państwa. Z drugiej zaś strony twórcy szkoły mieli poczucie krzywdy, gdyż w normalnym państwie cały majątek NKB zostałby przekazany szkole – czyli instytucji pożytku publicznego – za symboliczną złotówkę. Wokół tej sprawy i zmiany planu zagospodarowania przestrzennego terenów będących obecnie własnością WSB–NLU toczył się wieloletni spór władz WSB–NLU z władzami samorządowymi Nowego Sącza – spór na pozór irracjonalny (od 1996 r. można już było wyraźnie zobaczyć jak szkoła poprawia i wzmacnia obraz miasta, a zarazem zwiększa zamożność jego mieszkańców), a tak naprawdę dotyczący interesów prywatnego przedsiębiorcy, który liczył na łatwe przejęcie na własność terenów przy ulicy Zielonej. Oczywiście prokuratura szybko umorzyła postępowanie, nie dopatrując się w umowie żadnych nagannych rozwiązań, jednak brak jakiegokolwiek pomocy ze strony sądeckich władz i lokalnych polityków, a nawet brak symbolicznego poparcia niewątpliwie utrudniał działalność władz uczelni w tym najtrudniejszym okresie.

5. PRZEŁOM ROKU 1996 I OKRES ROZWOJU 1997–1999

Pierwsze oznaki sukcesu pokazały się w roku akademickim 1995/96. Liczba studentów przyjętych do szkoły w okresie poprzedzającym rok akademicki wzrosła dwukrotnie w porównaniu z rokiem poprzednim (z 435 do 881 osób). Wygraliśmy po raz pierwszy ranking "Wprost", powtarzając to w roku 1996, przysły pierwsze wyrazy uznania dla twórcy szkoły (nagroda Fundacji Polsko-Australijskiej "Polcul" w 1995 r. i głośna prestiżowa nagroda im. Z. Szeligi przyznana przez "Politykę" w marcu 1996 r.) Zrównoważony po raz pierwszy budżet szkoły umożliwił sfinansowanie dużej inwestycji tj. modernizacji budynku B w czasie wakacji 1996 r., (kosztowała ona w 1996 r. ponad 420 tys. USD, a w 1997 r. 300 tys. USD). Równocześnie rozpoczęliśmy inwestowanie coraz większych kwot w wyposażenie, głównie w sprzęt komputerowy.

W 1996 r. zmieniła się więc strategia władz szkoły, od walki o przetrwanie do bardziej spokojnego planowania strategicznego rozwoju na najbliższe kilka lat.

Jednym z ważnych zadań było zapewnienie absolwentom studiów licencjackich możliwości uzyskania w Nowym Sączu także tytułu magisterskiego.

Zaczęliśmy od oferowania studiów MBA (Master of Business Administration) oferowanych przy udziale naszej szkoły przez Maastricht School of Management. Takie studia (roczne stacjonarne, dwuletnie zaoczne) zorganizowaliśmy po raz pierwszy w 1996 r. dla kilkudziesięciosobowych grup. Studia te były oferowane w naszej szkole aż do uzyskania prawa do organizowania studiów MBA z NLU. Ukończyło je łącznie ponad 200 osób. Równocześnie rozpoczęliśmy przygotowania do uzyskania przez WSB–NLU uprawnień do prowadzenia studiów magisterskich. Podstawowym problemem było znalezienie 8 osób posiadających minimum stopień naukowy dr hab., którzy zdecydują się zatrudnić w WSB–NLU jako podstawowym miejscu pracy. Poszukiwania odpowiednich osób i rozmowy trwały niemal dwa lata. Były tak trudne, że rektor szkoły był kilka razy na progu rezygnacji. Widząc jak trudno jest uzyskać własne uprawnienia, prowadziłem równoległe rozmowy z kilkoma prestiżowymi uczelniami państwowymi zapraszając je do utworzenia filii w Nowym Sączu, oferującej uzupełniające studia magisterskie. Te rozmowy skończyły się (na całe szczęście) niepowodzeniem. Przełomem była zgoda na zatrudnienie w WSB–NLU prof. dr hab. Jerzego Dietla oraz przejście z UJ do szkoły dr hab. Marka Capińskiego. Ostatecznie udało się uzyskać zgodę 8 osób, które przeszły do WSB–NLU na tzw. I miejsce pracy, skompletowaliśmy stosowny wniosek i w połowie 1998 r. uzyskaliśmy uprawnienia magisterskie dla studiów na kierunku Zarządzanie i Marketing, a w październiku 1998 r. po raz pierwszy przyjęliśmy studentów na uzupełniające studia magisterskie.

Po pierwszych sukcesach rankingowych w latach 1995-96 wiele osób ze środowiska akademickiego kwestionowało naszą pozycję rankingową i klasę uczelni. Chcąc uwiarygodnić WSB–NLU w środowisku akademickim, w 1996 r. zgłosiliśmy jako pierwsza szkoła wyższa w Polsce swój program studiów licencjackich do akredytacji w pierwszym polskim stowarzyszeniu akredytacyjnym, tj. Stowarzyszeniu Edukacji Menedżerskiej "Forum". Do wizyty zespołu oceniającego doszło w 1996 r. i 4 stycznia 1997 r. Komisja Akredytacyjna SEM "Forum" przyznała nam akredytację dla programu na kierunku Zarządzanie i Marketing.

Zatrudnienie w 1997 i 98 r. grupy informatyków i matematyków pozwoliło nam na wystąpienie w 1998 r. do MEN o uprawnienia do prowadzenia studiów licencjackich na kierunku Informatyka. Uprawnienia te dostaliśmy w 1999 r. i w październiku 1999 r. studia na nowym kierunku rozpoczęła niewielka trzydziestoosobowa grupa studentów.

Ważnym sposobem budowania prestiżu WSB–NLU była organizacja przez WSB–NLU w latach 1995-1998 dużej liczby konferencji naukowo–aplikacyjnych. Miały one wyraźnie charakter wielośrodowiskowy, obok naukowców udział w nich brali politycy, przedsiębiorcy i menedżerowie, przedstawiciele samorządów lokalnych, dziennikarze. W tym okresie WSB–NLU zorganizowało ponad 40 konferencji.

W latach 1995-99 szkoła rozpoczęła świadomą budowę własnej kadry naukowo-dydaktycznej. Pierwsi asystenci rozpoczęli studia doktoranckie na uczelniach państwowych.

Szkoła od samego początku cieszyła się zainteresowaniem i sympatią polskich mediów, ale prawdziwy festiwal medialny przypadł na lata 1995-1999 obfitując w dziesiątki dużych artykułów prasowych (także w najbardziej prestiżowych dziennikach i tygodnikach), wiele audycji i specjalnych filmów telewizyjnych i audycji radiowych. To pozwoliło całkowicie zrezygnować z promocji bezpośredniej (wizyty w szkołach średnich) i płatnych reklam w mediach.

Jednym z projektów rozbudowy WSB–NLU był przedłożony w 1998 r. program rozszerzenia działalności uczelni o kształcenie nieodpłatne części studentów w oparciu o środki budżetowe państwa, przekazywane szkole w ramach zamówień rządowych. Projekt ten przewidywał przejęcie przez WSB–NLU dwóch sądeckich szkół pomaturalnych (Studium Języków Obcych i Studium Nauczycielskiego). Dobrze przygotowany wniosek utworzenia unikalnej w polskich warunkach uczelni prywatno-państwowej, przewidujący docelowo kształcenie w Nowym Sączu 12 tysięcy studentów, został przekazany Ministrowi Edukacji Narodowej. Projekt ten tworzył niezwykle korzystne warunki dla rozwoju miasta – m.in. umożliwiał utworzenie docelowo ok. 1000 nowych miejsc pracy, został jednak przez ministra odrzucony; przyjęto natomiast do realizacji wspierany przez władze miasta i kilku polityków AWS projekt utworzenia Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej. W tej sytuacji WSB–NLU pozostał rozwój w oparciu o zasoby własne – tworzenie relatywnie niewielkiej elitarniej uczelni.

Kolejnym przełomem była podpisana 4 listopada 1999 r. w Chicago nowa umowa z NLU regulująca relacje wzajemne i procedurę przyznawania absolwentom WSB–NLU dyplomu i tytułu bakałarza NLU. Do podpisania tej umowy doszło dzięki zmianom personalnym w NLU. Po rocznej tymczasowej prezydenturze przyjaciela szkoły sądeckiej dr E. Risingera nowym prezydentem

wybrany przez Radę Powierniczą NLU został dr Curtis McCray, doświadczony profesjonalista zarządzający w przeszłości kilkoma uniwersytetami. Dr C. McCray znalazł w WSB–NLU ważny element podniesienia prestiżu NLU i wsparł z całą mocą nową umowę. Nowa umowa rozszerzyła zaangażowanie NLU także na wprowadzony w Nowym Sączu wówczas nowy program studiów informatycznych i przewidywała poddanie obu programów akredytacji w NCA – amerykańskim stowarzyszeniu akredytacyjnym – właściwym dla uczelni działających na terenie stanu Illinois.

6. CZASY WSPÓŁCZESNE – OKRES DOJRZAŁEGO ROZWOJU OD 2000 R.

Na przełomie lat 1999 i 2000 można było zauważyć istotne, wielowymiarowe wzmocnienie pozycji WSB–NLU – powszechną znajomość szkoły w całym kraju i akceptację pozycji lidera w środowisku akademickim (nawet w tym kręgu, który jest nieprzyjazny uczelniom niepaństwowym WSB–NLU jest pokazywana jako pozytywne odstępstwo od powszechnej miernoty), a także w Nowym Sączu. Tak jak w przeszłości, bardzo mocną pozycję ma WSB–NLU w środowisku gospodarczym, co owocuje wieloma miejscami pracy dla absolwentów. Ważnym czynnikiem wzmacniającym przekonanie sądeczan o stabilności uczelni i jej znaczeniu dla miasta były wydarzenia po likwidacji województwa nowosądeckiego: wzrost bezrobocia, utrata pozycji i obniżenie prestiżu miasta, kłopoty wielu firm sądeckich (łącznie z Optimusem). W konfrontacji z tymi niekorzystnymi faktami stały rozwój materialny szkoły, wzrost liczby zamiejscowych studentów wnoszących do portfeli sądeczan znaczące kwoty, spowodował że WSB–NLU coraz powszechniej jest rozpoznawalna jako jedyna sądecka instytucja przyczyniająca się stale do rozwoju miasta. Niewątpliwie, do wzmocnienia pozycji szkoły (zewnętrznej i lokalnej) bardzo przyczyniły się sukcesy: zwycięstwa w rankingach, sukcesy studentów w różnych konkursach oraz nagrody i wyróżnienia dla szkoły i jej twórcy. Szczególne znaczenie miało uznanie WSB–NLU za najcenniejszą inicjatywę obywatelską dziesięciolecia 1989–1999 w ogłoszonym przez premiera Jerzego Buzka konkursie „Pro Publico Bono”. Wręczenie tej nagrody nastąpiło 11 listopada 1999 r. w Krakowie podczas wielkiej gali w Teatrze Słowackiego.

Rok 2000 przyniósł ważny sygnał stabilizacji kadrowej WSB–NLU – dwaj pierwsi asystenci (dr Piotr Czarnecki i dr Bogdan Batko), którzy kilka lat wcze-

śniej tuż po skończeniu studiów rozpoczynali prace w WSB–NLU, obronili prace doktorskie. Do ogłoszonego konkursu na stanowiska asystentów zgłosiło się po kilkadziesiąt osób na jedno miejsce. Kolejny doktorat obronił w 2001 r. Rafał Matyja, który rok wcześniej przeniósł się do WSB–NLU rezygnując z pracy w SGH i mieszkania w Warszawie.

Ważnym czynnikiem stabilizacji szkoły i wzmocnienia jej pozycji był rozwój bazy socjalnej w latach 1999-2001. W 1999 uczelnia rozpoczęła budowę swojego akademika oraz budowę dużego kompleksu sportowego na terenie kampusu przy ul. Zielonej 27. Luksusowo wyposażony akademik dla 120 studentów, posiadający także kilka mieszkań i apartamentów dla kadry dydaktycznej, został oddany do użytku we wrześniu 2000 r. W tym samym czasie zakończono budowę kompleksu sportowego i fitness-clubu i zespołu boisk (do piłki ręcznej, koszykówki, siatkówki) oraz dwóch kortów tenisowych. W sumie inwestycje w zaplecze socjalne kosztowały blisko 10 mln zł, z czego mniej niż 1/3 środków pochodziła ze źródeł zewnętrznych (grant 2 mln zł z Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej oraz ok. 700 tys. zł z UKFiS), a pozostała kwota została sfinansowana ze środków własnych szkoły, nie powodując jej zadłużenia w bankach. Istotnym sygnałem o uznaniu przez sądeczan pozycji i stabilizacji WSB–NLU było zaangażowanie się w 2001 r. kilku firm i osób prywatnych w proces rozbudowy bazy socjalnej uczelni. W 2001 r. zbudowane zostały oddane do zamieszkania dwa duże domy wielorodzinne budowane początkowo na wynajem, a przeprojektowane na akademiki dla łącznie ponad 200 studentów. Dwa kolejne są w trakcie budowy i zostaną oddane do użytkowania w 2002 r., jeszcze jeden zaś w 2003 r. W sumie w tych pięciu prywatnych akademikach wybudowanych i wyposażonych bez użycia środków WSB–NLU mieszkać będzie ponad 500 studentów.

W 2001 r. kolejny prywatny przedsiębiorca zainwestował swoje pieniądze w przebudowę ostatniej, zrujnowanej hali poprodukcyjnej przy ul. Zielonej 27 w doskonałą jadalnię studencką mogącą jednorazowo obsługiwać ponad 120 osób.

Stabilność finansowa, korzystny przebieg rekrutacji w kolejnych latach, oraz stabilizacja kadry dydaktycznej, pozwoliła na podjęcie decyzji o budowie nowego kompleksu dydaktycznego, który ma znacznie podnieść komfort studiowania, ale także po raz pierwszy w dziesięcioletniej historii szkoły podwyższyć komfort pracy kadry dydaktycznej zatrudnionej na stałe w WSB–NLU.

W wyniku konkursu architektonicznego do realizacji został przyjęty projekt Janusza Urbanowicza i Janusza Wysockiego zakładający powierzchnię ok. 6000 m², przewidujący dużą czytelną studencką, salę amfiteatralną, kompleks ośmiu pracowni komputerowych oraz czterdziestu pokoi profesorskich. Budowa została rozpoczęta w lipcu 2001, pierwsza część kompleksu została oddana do użytku w lutym 2002 r., a pozostała ukończona będzie we wrześniu 2002 r. Po raz pierwszy WSB–NLU uzyskała wsparcie dla inwestycji ze strony Zarządu Województwa Małopolskiego, który w ramach kontraktu regionalnego 2001-2002 przeznaczył kwotę 1,9 mln zł na budowę czytelnicy i biblioteki. Inwestycja zostanie sfinansowana częściowo ze środków własnych, częściowo kredytem bankowym (2,075 mln euro) spłaconym w latach 2003 -2005.

Istotnym czynnikiem rozwoju stały się innowacje programowe, których inicjatorami są pracownicy naukowo-dydaktyczni. I tak w oparciu o pomysł prof. Marka Capińskiego, w sposób zasadniczy został zmodyfikowany program zaocznych uzupełniających studiów magisterskich na kierunku Zarządzanie i Marketing. W miejsce dotychczasowego tradycyjnego programu i sposobu jego realizacji (głównie poprzez wielogodzinne wykłady z dodatkiem ćwiczeń) zaproponowany został 16-kursowy program studiów, w którym do każdego kursu studenci otrzymują na krążkach CD komplet materiałów opracowanych metodą interaktywną, umożliwiającą samodzielną pracę studenta w domu. Ten nowy program spotkał się z ogromnym zainteresowaniem (wzrost liczby studentów z ok. 150 do ponad 700), co umożliwiło znaczną obniżkę czesnego (z 2000 USD do 1000 USD za rok). Nowy program studiów umożliwił jego zaoferowanie absolwentom drugiej Szkoły Biznesu, prowadzonej w Tarnowie, dzięki wykorzystaniu techniki transmisji wykładów w czasie rzeczywistym do Tarnowa.

Przygotowanie materiałów dydaktycznych na CD umożliwiło po raz pierwszy w historii WSB–NLU uruchomienie równocześnie studiów SUM w formule on-line w pełni internetowych. Pierwsze dwie eksperymentalne kiluosobowe grupy studentów rozpoczęły studia w październiku 2001. Ci studenci pojawiać się będą w szkole tylko na egzaminach i proseminariach. Dzięki nowym formom studiów WSB–NLU pokonała swoją największą słabość – duże oddalenie od dużych miast i peryferyjne położenie utrudniające i wydłużające dojazd do szkoły. Wsparcie poprzez materiały dydaktyczne na CD jest obecnie rozszerzane przez zespół informatyków zgromadzony wokół Dziekana Wydziału Informatyki prof. Mariana Mrozka na program zaocznych studiów na kierunku Informatyka.

Wsparcie programu studiów zaocznych poprzez materiały zawarte na CD jest istotnym podniesieniem jakości studiów zaocznych i zbliża je jakościowo do programów studiów stacjonarnych (za wyjątkiem nauki języków obcych). Nowe rozwiązania programowe w sposób istotny zwiększają naszą przewagę konkurencyjną na rynku edukacyjnym.

W 2001 r. podjęliśmy decyzje o znacznym, wręcz skokowym rozszerzeniu naszej oferty programowej. Od października 2002 r. studia licencjackie na kierunku Zarządzanie i Marketing są prowadzone od I roku także w języku angielskim. Ponadto WSB–NLU złożyło do MEN wnioski o prowadzenie studiów licencjackich na kolejnych kierunkach:

- nauk politycznych
- matematyki (ze specjalizacją matematyki finansowej).

WSB–NLU dzięki uzyskanej pozycji na rynku edukacyjnym staje się atrakcyjnym partnerem akademickim. W 1999 r. podpisaliśmy umowę z pięcioma uczelniami niepaństwowymi (WSB w Tarnowie, WSZiB w Krakowie, GSzH w Katowicach, WSBiJ w Bielsku Białej i WSzSz w Poznaniu) o utworzenie Stowarzyszenia "STARS", stawiającego sobie za cel stopniowy proces przekształceń i integracji prowadzący do utworzenia w przyszłości wielokampusowego uniwersytetu. W 2001 r. wspólnie z dwoma wiodącymi uczelniami niepaństwowymi: Wyższą Szkołą Humanistyczną w Pułtusku oraz Wyższą Szkołą Przedsiębiorczości i Zarządzania im. Leona Koźmińskiego w Warszawie, WSB–NLU podpisała umowę o utworzeniu konsorcjum "ProScience" prowadzącego wspólnie badania naukowe oraz realizującego różnorodne projekty badawcze i aplikacyjne. Zewnętrznym potwierdzeniem pozycji osiągniętej przez WSB–NLU było zlecenie przez Konferencję Episkopatu Polski Kościoła Katolickiego prowadzenie kształcenia księży i sióstr zakonnych zajmujących się sprawami ekonomicznymi Kościoła. W roku akademickim 2001/02 170 księży i sióstr zakonnych uczestniczyło w specjalnym programie studiów podyplomowych. Następną grupą 70 księży i sióstr zakonnych rozpoczęła studia w marcu 2002 r.

Osiągnięty poziom rozwoju kadry dydaktycznej, stabilna pozycja finansowa, ugruntowana pozycja na rynku edukacyjnym – uczyniły możliwym rozpoczęcie programu restrukturyzacji organizacyjnej uczelni prowadzącej od okresu dynamicznego rozwoju zarządzanego przez lidera do zbudowania stabilnej

organizacji akademickiej zmierzającej w stronę uniwersytetu przedsiębiorczego. Proces zmian organizacyjnych został rozpoczęty w styczniu w 2001 r. poprzez wprowadzenie dwóch pionów organizacyjnych w sposób precyzyjny określających zadania i odpowiedzialność. Restrukturyzacja ma dwa cele cząstkowe: dalszą poprawę jakości procesu dydaktycznego oraz rozwój zatrudnionej w WSB–NLU młodej kadry naukowo-dydaktycznej. Wprowadzone zmiany wzmacniają pozycję ale i odpowiedzialność prorektorów obu pionów oraz dziekanów. Chcąc przyspieszyć rozwój kadry dydaktycznej i wzmocnić działania i inicjatywy na rzecz podniesienia jakości kształcenia, wprowadzony został w WSB–NLU (po raz pierwszy w polskim szkolnictwie wyższym) motywacyjny system wynagrodzeń dla ponad stu zatrudnionych w uczelni adiunktów, asystentów i lektorów. Ten system wynagrodzeń został wsparty szeregiem szkoleń, projektów pozwalających młodym pracownikom na stałe podnoszenie kwalifikacji zawodowych i rekompensujących ich zaangażowanie w działalność uczelni. Jednym z elementów systemu jest wydzielenie w budżecie uczelni funduszu badań naukowych, którego wysokość przekracza 200 tys. zł rocznie.

SĄDECCY PARAOLIMPIJCZYCY. POCZĄTKI I ROZWÓJ SPORTU NIEPEŁNOSPRAWNYCH NA SĄDECCZYŹNIE.

Piękno i szlachetność sportu leżą nie tylko w naturze i formie każdej dyscypliny sportowej, ale związane są również z wyższymi wartościami duchowymi uwzględniającymi osobiste zaangażowanie każdego sportowca. Słowa ojca Didon: "citius – fortius – altius" (szybciej, wyżej, mocniej) w pełni oddają istotę idei, która leżała u podstaw filozofii olimpizmu Pierre de Coubertaina, żywiącego nadzieję, że duch olimpijski wyjdzie poza areny sportowe i obejmie też sferę codziennego życia społecznego. Sport ludzi niepełnosprawnych, tak samo jak pełnosprawnych sportowców, jest nosicielem radości życia, odwagi i nieustannego dążenia do doskonałości. Powrót do idei olimpijskich dokonany przez francuskiego barona u schyłku XIX w. rozbudził z czasem w tym zakresie pewne nadzieje również wśród osób niepełnosprawnych. Olimpizm, jako składowa sportu, kultury i edukacji, otworzył szeroką drogę do życia opartego na czerpaniu radości z podejmowanego wysiłku oraz szacunku dla fundamentalnych zasad etycznych. Działając w tym duchu, wielu niepełnosprawnych na całym świecie przyczyniło się do ukształtowania nowej świadomości o ich własnych możliwościach i zdolnościach.

Wyzwania, które podjęli niepełnosprawni sportowcy przyciągnęły i przyciągają nadal uwagę społeczeństw całego świata. Obecnie szczytem rywalizacji elity najlepszych sportowców niepełnosprawnych stały się Igrzyska Paraolimpijskie, które przez 42 lata swojej historii rozwinęły się i służą jako jedyna w swoim rodzaju arena pokonywania słabości i zmagania się z poważnymi ograniczeniami.¹

*
Początki sportu osób niepełnosprawnych sięgają okresu I wojny światowej, kiedy to niemiecka służba zdrowia wprowadziła zajęcia sportowe dla konuzjowanych żołnierzy w celu przyspieszenia ich sprawności ruchowej i powrotu do służby liniowej. Wkrótce potem, w 1922 r., w Anglii powstał pierwszy klub sportowy inwalidów. Organizował on coroczne zawody samochodowe Annual Rally. W tym samym czasie w Glasgow założono Towarzystwo Jednorękich Golfistów, a kilka lat później podobne organizacje powstały na terenie USA. Należy odnotować, że pierwszy polski klub sportowy inwalidów przy Warszawskim Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych powstał (tak jak w Anglii) już w 1922 r.

W 1924 roku utworzono Międzynarodową Federację Sportu Głuchoniemych, której Polska była współzałożycielem. Natomiast pierwsze nieformalne zawody osób niepełnosprawnych rozegrane zostały 28 lipca w 1948 r. na polach w Stoke Mandeville, na Wyspach Brytyjskich, kiedy to 14 mężczyzn i 2 kobiety (paraplegicy – chorzy z uszkodzonym rdzeniem kręgowym) rywalizowali w łucznictwie. Odnotujmy, iż zbiegły się one w czasie z datą ceremonii otwarcia XIV Igrzysk Olimpijskich w Londynie, pierwszych po zakończeniu drugiej wojny światowej.

*
Powołanie Zrzeszenia Sportowego "Start" na podstawie Uchwały Głównego Komitetu Kultury Fizycznej z dnia 1 grudnia 1952 roku, umożliwiło tworzenie na terenie całej Polski nowych organizacji kultury fizycznej, jakimi były Terenowe Koła Sportowe "Start". Duża ilość nowo powstałych kół zmusiła władze młodego zrzeszenia do tworzenia terenowych organów, którymi stały się Rady Okręgowe "Start". Głównym zadaniem tych rad było inicjowanie i koordynowanie działalności Terenowych Kół Sportowych.

W wyniku przeprowadzonej w 1957 r. reorganizacji funkcjonowania kultury fizycznej w naszym kraju, pewnych zmian organizacyjnych i strukturalnych dokonano także w ramach Zrzeszenia Sportowego "Start". W miejsce zlikwidowanych Rad Okręgowych utworzono Wojewódzkie Komisje Sportowe ZS "Start". Problemami sportu masowego zajmować się odtąd miały koła sportowe, a dla potrzeb sportu wyczynowego powołano kluby sportowe.

Pozytywne wyniki uzyskane w zakresie umasowienia sportu, jak i właści-

wy rozwój sportu wyczynowego w Zrzeszeniu Sportowym "Start", spowodowały, że działalność zrzeszenia od 1961 r. została rozszerzona o problematykę sportu inwalidzkiego i rehabilitację leczniczą. Wyrazem szczególnej wagi, jaką zrzeszenie przykładało do sportu i rehabilitacji inwalidów, był fakt powołania od 1965 r. na terenie wszystkich województw w kraju Międzyspółdzielnianych Ognisk Kultury Fizycznej Inwalidów, jako stowarzyszeń posiadających osobowość prawną. Dbałość zrzeszenia o możliwie wysoką sprawność fizyczną i o właściwą rehabilitację inwalidów nie ograniczała się tylko do terenu poszczególnych województw, a nawet całego obszaru naszego kraju. Należy przypomnieć, że to właśnie z inicjatywy ZS "Start" utworzona została Międzynarodowa Rada Sportu dla Inwalidów, w której, w początkowym okresie działalności, Rada Główna Zrzeszenia Sportowego "Start" w Warszawie była jedynym przedstawicielem z grupy tzw. krajów demokracji ludowej. Rada ta od 1966 r. była częstym organizatorem Europejskich i Światowych Igrzysk dla Inwalidów.² Terenem działalności ZS "Start" były także szkoły "pionu" spółdzielczości pracy. Od 1965 roku zrzeszenie organizowało dla tych szkół Ogólnopolskie Igrzyska Sportowe.

Wprowadzony z dniem 1 czerwca 1975 roku nowy podział administracyjny kraju stworzył również konieczność wprowadzenia pewnych zmian organizacyjnych. Z dniem 31 grudnia 1975 roku rozwiązane zostały Rady Wojewódzkie ZS "Start", a na terenie wszystkich nowych województw zostały powołane Międzyspółdzielniane Ogniska Sportu, Rehabilitacji Inwalidów, Turystyki i Wypoczynku ZSSP "Start", podporządkowane bezpośrednio Radzie Głównej Zrzeszenia Sportowego Spółdzielczości Pracy "Start" w Warszawie. W następnych latach dokonano kolejnej zmiany, utworzono Wojewódzkie Zrzeszenie Sportowe Spółdzielczości Pracy "Start". Podobnie było w nowo powstałym województwie nowosądeckim.

Do zadań jednostek wojewódzkich (WZSSP "Start") należało organizowanie masowej kultury fizycznej dla pracowników i ich rodzin w Spółdzielniach Pracy, dla inwalidów w Spółdzielniach Inwalidów, a dla młodzieży w Szkołach Centralnego Związku Spółdzielczości Pracy. Dodatkowo w Spółdzielniach Inwalidów prowadzono zajęcia rehabilitacyjne i zawody sportowe dla osób niepełnosprawnych.

W Wojewódzkim Zrzeszeniu Sportowym Spółdzielczości Pracy "Start" z siedzibą w Nowym Sączu do roku 1992 zrzeszone były: 23 koła sportowo-turystyczne "Start" (m.in. działające przy Spółdzielniach Pracy), 7 takich kół dzia-

łało przy Spółdzielniach Inwalidów, 5 kół sportowych zorganizowanych było przy Szkołach CZSP. Ponadto działało 5 klubów sportowych wyczynowych Zrzeszenia Sportowego "Start" funkcjonujących na prawach stowarzyszeń: Spółdzielczy Klub Sportowy "Start" Nowy Sącz, Spółdzielczy Klub Sportowy "Start" Zakopane, Spółdzielczo Rzemieślniczy Klub Sportowy "Gorce" Nowy Targ, Spółdzielczy Klub Sportowy "Sokolica" Krościenko i Spółdzielczy Klub Sportowy "Turbacz" Mszana Dolna.

W latach 1976–1992 na terenie Sądeckizny organizowane były dla pracowników spółdzielczości pracy i ich rodzin wojewódzkie spartakiady w lekkiej atletyce, prowadzono ligi rozgrywkowe w piłce nożnej, tenisie stołowym, siatkówce oraz strzelectwie sportowym.

W zakresie turystyki pieszej organizowano rajdy turystyczne, a w ramach turystyki wodnej – ogólnopolskie i wojewódzkie spływy kajakowe, odbywające się najczęściej na rzekach Dunajec i Poprad. Zimą rozgrywano narciarski slalom gigant spółdzielców. W imprezach tych każdego roku uczestniczyło średnio około 3–4 tys. osób. W czternastu placówkach kolonijnych i zimowiskach na terenie województwa nowosądeckiego wycoczywało do 5 tys. dzieci i młodzieży spółdzielców. Poszczególne turnusy zwyczajowo kończyła wojewódzka "koloniada", której najczęstszym miejscem zmagania były Siedlce koło Nowego Sącza a głównym jej organizatorem był red. Jacek Stroka z Krakowa. Dla szkół CZSP organizowano Ogólnopolskie Spartakiady przekształcone następnie w Ogólnopolskie Igrzyska Sportowe Szkół CZSP w sportach letnich i zimowych (lekkiej atletyce i narciarstwie).³

Pierwszym Prezesem Wojewódzkiego Zrzeszenia Sportowego Spółdzielczości Pracy "Start" w Nowym Sączu (WZSSP) został wybrany w 1975 roku Julian Krzak (Prezes Wojewódzkiego Związku Spółdzielczości Pracy), który pełnił tę funkcję do 1980 roku. Następcą Juliana Krzaka na stanowisku Prezesa WZSSP "Start" w Nowym Sączu został wybrany w 1980 roku inż. Jan Szewczyk.

Od 1975 roku sekretarzem WZSSP "Start", a następnie wiceprezesem urzędującym, był jeden z najbardziej oddanych działaczy sportowych, wychowawca młodzieży, Stanisław Ślęzak, którego uważa się za prekursora sportu ludzi niepełnosprawnych na Sądeckiznie. Jest on także niekwestionowanym twórcą sportu paraolimpijskiego w regionie, współtwórcą wybitnych, światowych osiągnięć sportowych sądeckich paraolimpijczyków.



Albertville '92. Od lewej: S. Ślęzak, J. Szlęzak, K. Kałużny, P. Sułkowski, J. Ślazyk

Do wieloletnich i najaktywniejszych działaczy ZS "Start" Nowy Sącz w minionym okresie należeli: Julian Krzak, Stanisław Ślęzak (członek zarządu SKS "Start" Nowy Sącz od 1968 roku), Jan Szewczyk, Jan Oracz (zawodnik sekcji piłki nożnej, wieloletni Prezes SKS "Start" Nowy Sącz w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, sędzia kajakowy i działacz sportowy PZK), Kazimierz Mirek, Adam Gocek (niepełnosprawny, wielokrotny medalista MP w narciarstwie biegowym i lekkiej atletyce w latach osiemdziesiątych), Kazimierz Baran, Adam Sowiński (zawodnik, trener, sędzia i działacz sportowy PZK), Andrzej Kołodziej, Jerzy Kokot, Józef Sztaba i Eugeniusz Wędrychowicz.

Koła sportowe przy Spółdzielniach Inwalidów i ich aktywna działalność były początkiem rodzącego się sportu inwalidów. Najpierw jako formy aktywności ruchowej wyrabiającej, utrzymującej oraz podnoszącej sprawność fizyczną-ruchową osób niepełnosprawnych na poziomie gwarantującym ich pełną samodzielność życiową, pozwalającą na wykonywanie pracy zawodowej i czynności codziennego życia.⁴ Z czasem sport ten osiągnął wysoki poziom wyczynu, co spowodowało przejście w kierunku sportu paraolimpijskiego; na Sądecczyźnie z bardzo mocnym narciarstwem biegowym i biathlonem.

Podobnie było i w innych regionach kraju, gdzie dominowały jednak dyscypliny sportów letnich.

W masowych zawodach organizowanych dla niepełnosprawnych zatrudnionych w Spółdzielniach Inwalidów wylaniano osoby najzdolniejsze, najbardziej predysponowane do uprawiania sportu. Po takiej selekcji wstępnej sportowcy niepełnosprawni poddawani byli systematycznemu szkoleniu pod opieką szkoleniową i wychowawczą Stanisława Ślęzaka w WZSSP "Start" w Nowym Sączu. Reprezentowali oni województwo nowosądeckie na Mistrzostwach Polski w poszczególnych dyscyplinach sportowych zdobywając dotychczas łącznie 814 medali (tabela nr 1).

MEDALE ZDOBYTE PRZEZ SPORTOWCÓW WZSSP „START” NOWY SĄCZ

		Zdobyte medale na imprezach głównych w latach 1978 – 2000.			
Lp.	Nazwa imprezy głównej sportowców niepełnosprawnych – seniorzy	Medale złote	Medale srebrne	Medale brązowe	
1.	MP w lekkiej atletyce	121	98	105	324
2.	MP w narciarstwie biegowym	194	98	64	356
3.	MP w narciarstwie zjazdowym	13	34	11	58
4.	MP w 5-cioboju lekkoatletycznym	6	-	1	7
5.	MP w tenisie stołowym	4	-	1	5
6.	MP w pływaniu	4	6	3	13
7.	MP w strzelaniu sportowym	1	1	1	3
	Medale zdobyte łącznie przez seniorów	343	237	186	766
	Nazwa imprezy głównej sportowców niepełnosprawnych – juniorzy				
8.	Spartakiada młodzieży w lekkiej atletyce	29	13	6	48
	Medale zdobyte łącznie (seniorzy, juniorzy)	372	250	192	814

Najlepsi uczestniczyli w centralnym szkoleniu i reprezentowali nasz kraj na imprezach międzynarodowych, w tym także na ME, MŚ, PŚ, oraz na letnich i zimowych Igrzyskach Paraolimpijskich, przy czym ostatnia olimpiada zimowa w minionym stuleciu odbyła się w japońskim Nagano (1998) i była ona najmniej udana pod względem sportowym w dotychczasowej historii naszych startów.

*

Sezon olimpijski 2002, będzie kolejnym nowym wyzwaniem dla sądeckich sportowców paraolimpijczyków, zwłaszcza w kontekście nadchodzących Zimowych Igrzysk Paraolimpijskich w Salt Lake City – USA, na które w skład

polskiej reprezentacji paraolimpijskiej nominacje otrzymało ośmioro sportowców narciarzy, zawodników wywodzących się z Zrzeszenia Sportu Osób Niepełnosprawnych "Start" w Nowym Sączu.

W grupie nominowanych paraolimpijczyków znaleźli się wyłącznie sędziowanie: zawodniczki i zawodnicy uprawiający narciarstwo biegowe i biathlon, na czele z Marcinem Kosem, multimedalistą paraolimpiad (tabela nr 2).

SKŁAD POLSKIEJ EKIPY PARAOLIMPUJSKIEJ NA IGRZYSKA W SALT LAKE 2002.

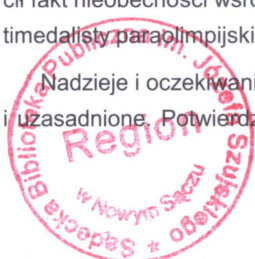
Lp.	Nazwisko i imię	Klub sportowy	Klasa startowa	Konkurencje sportowe		
				Biegi indywidualne	Biathlon indywidualny 3 x 2,5	Sztafety 3 x 2,5
1.	Pomietło Beata	Start Nowy Sącz	LW12	2,5-5-10 km	Biathlon	
2.	Rogowiec Katarzyna	Start Nowy Sącz	LW5/7	5-10-15 km		
3.	Kapłoniak Bogumiła	Start Nowy Sącz	LW6/8	5-10-15 km	Biathlon	
4.	Groń Grażyna	Start Nowy Sącz	LW6/8	5-10-15 km	Biathlon	
5.	Wątor Robert	Start Nowy Sącz	LW12	5-10-15 km	Biathlon	
6.	Fiedor Wiesław	Start Nowy Sącz	LW12	5-10-15 km	Biathlon	
7.	Kosewicz Piotr	Start Nowy Sącz	LW10			
8.	Kos Mar- cin	Start Nowy Sącz	LW5/7	5-10-15 km		
9.	Kołodziej Jan	Start Nowy Sącz	LW3	Mimo uzyskanych kwalifikacji olimpijskich nie otrzymał nominacji!		

Tabela nr 2.

W skład kierownictwa ekipy polskiej na Igrzyska Paraolimpijskie w Salt Lake City weszli: Jan Czaja – Nowy Targ, który po raz drugi pełnić będzie funkcję trenera głównego polskiej reprezentacji narciarstwa klasycznego, Stanisław Ślęzak – Nowy Sącz, który w roli trenera-opiekuna na IPO występował będzie po raz czwarty, Leszek Smajdor – Bielsko-Biała, trener odnowy biologicznej, debiutujący na tej rangi imprezie (sądeczanin), Mariusz Jasiński – Szklarska Poręba, obsługa techniczna (debiutant).

Jak pokazuje powyższa tabela, polska ekipa paraolimpijska składa się w całości z zawodników narciarzy nowosądeckiego "Startu", co jest niespotykanym w dotychczasowej historii paraolimpiad wielkim osiągnięciem szkoleniowo-organizacyjnym zarówno samych sportowców jak i ich trenera opiekuna Stanisława Ślęzaka. Dodajmy jednakże, że atmosferę tego sukcesu zmaćcił fakt nieobecności wśród nominowanych zawodników Jana Kołodzieja, multimedalisty paraolimpijskiego (siedem medali).⁵

Nadzieje i oczekiwania na końcowy sportowy sukces w Salt Lake są duże i uzasadnione. Potwierdziły to starty w okresie przedolimpijskim na Mistrzo-





Nagano '98. W środku M. Kos

stwach Świata i Europy, z których sądeczanie i polska reprezentacja wracała z medalami.

W lutym 2000 roku na MŚ w narciarstwie klasycznym, które odbyły się w szwajcarskim Crans Montana, nasi sportowcy z WZSSP "Start" Nowy Sącz wywalczyli aż pięć medali. Wynik ten był medalowym dorobkiem całej polskiej reprezentacji. Medale w Crans Montana zdobywali: Marcin Kos, (dwa srebrne medale i tytuły wicemistrza świata na dystansach 5 i 20 km), Robert Wątor (srebrny medal i tytuł wicemistrzowski w biegu na dystansie 15 km), Wiesław Fiedor (brązowy medal szwajcarskich mistrzostw w biegu na 5 km). Sukces największy w tych zawodach odniosła Bogumiła Kapłoniak, zdobywając tytuł mistrzyni świata w biegu biathlonowym na dystansie 7,5 km z podwójnym strzelaniem.

Przypisy:

1. Wiecha K., *Sport bez granic*, w: "Olimpijczyk" nr 3-4 (12-13)99, s.44
2. Aleksander R., *Działalność SKS "Start" Nowy Sącz w latach 1953-1978*, Nowy Sącz 1978, s. 9-10.
3. Sprawozdanie z działalności Wojewódzkiego Zrzeszenia Sportowego Spółdzielczości Pracy "Start" w N. Sączu za lata 1978-1982, Nowy Sącz, luty 1983. Archiwum WZSSP "Start" Nowy Sącz.
4. Sprawozdanie z działalności WZSSP "Start" w N. Sączu za lata 1983-1987, Nowy Sącz, maj 1988, Archiwum WZSSP "Start" Nowy Sącz.
5. Kuropeska K., *Sądecy Paraolimpijczycy*, w: "Rocznik Sądecki", tom XXIX, s. 235.

Wincenty Michalik

LUDOWE HISTORYJKI ZE STAREJ WSI

*Od redakcji:
Poniższe wspomnienia napisane zostały przez dawnego działacza
ludowego ze Starej Wsi z inicjatywy Wincentego Gawrona.
Tekst niniejszy prezentujemy bez skrótów
i z zachowaniem stylu i pisowni Autora.*

Wśród kilku znanych mi Śmierciaków za Golcowem jeden był moim dziadkiem. Przeskrobał coś pod koniec pańszczyzny wykonywanej dla dworu w Starej Wsi i ukrywał się przed ciężką karą. W końcu podszedł do sąsiada Pałki i pisemnie mu uwierzyłnił jakoby testament, przekazując 30 morgów pola za miskę soczewicy i kozioł jajecznicy, by się choć raz najadł. Potem udał się do Czech ślad po nim zaginął. Gdy następnie ktoś z jego rodziny chciał odebrać to pole Pałce, sprawa trafiła do sądu. Wówczas to Pałka posługiwał się tylko paragrafami, za co wieś nadała mu przezwisko "Paragraf", a i jego synowie byli znani we wsi jako "Paragrafy".

Inny Śmierciak w Morgach był złodziejem lubianym przez sąsiadów, bo gdy ukradł coś "na mięso", to ich zapraszał w gościnę.

Jednego razu pod Cisowym Działem, już w Kicznej, przed targiem w Łączku, wieczorem ukradł krowę w zamożnym gospodarstwie, ale nie mógł się wypłatać z ogrodzenia. Na szczenie psa wyszedł gospodarz, a Śmierciak spokojnie do niego się zwraca:

– Dobry wieczór, gospodarzu! Idę z krową na targ do Łączka i chciałbym przenocować.

Gospodarz odparł na to:

– Jedyk, mam miejsce w stajni przy koniach – i po ciemku umieścił tę krowę, a Śmierciak zaprosił na kolację i nocleg. Przy tej kolacji Śmierciak wpatrywał się w gospodarza. Zapytany wreszcie, czego się tak wpatruje – odpowiedział:

– Bo, gospodarzu, jesteście identycznym do mojego wujka z Ameryki.

Na to gospodarz rzecze:

– Jedyk wej, ludzie do ludzi się nadają.

Rano wczas zjedli śniadanie, gospodarz napasł krowę, wyprowadził ją i oddał Śmierciakowi. Ponieważ gospodarz też szedł na targ, to popędzał tę krowę. W pobliżu Łącka, gdy już nastał dzień, przyglądał się jej, poznając swoją. Widząc to, Śmierciak zapytał:

– Czemu się tak wpatrujecie w tę krowę?

– Bo jest podobna, jakby moja – odrzekł gospodarz.

– O, tak, gospodarzu! Jak wy wczoraj nadawał się do mojego wuja z Ameryki, tak i krowa się nadaje.

Na targu gospodarz faktorował, że to jego sąsiad i krowa jest bardzo dobra, a Śmierciak przypuścił cenę i krowę szybko sprzedał. Potem gospodarza wraz z kupcem zaprosił na litkup do karczmy mieszczącej się przy targu. Gdy gospodarz podpiał sobie, a ubrany był w nowy, długi kożuch, Śmierciak mówi:

– Gospodarzu, pokażcie ten kożuch, jak będę wyglądał. Może i ja bym sobie taki kupił.

Gospodarz zdjął kożuch. Śmierciak go ubrał na siebie, oglądał z lewej i z prawej, a następnie zakrzyknął: - Halo! Halo! – wybiegł na zewnątrz karczmy i uciekł.

W tym momencie synek odnajduje gospodarza i mu melduje:

– Tato, krowę ukradli! – a gospodarz dodaje:

– Jedyk, nie tylko krowę, ale i kożuch.

Oto wynik szybkiej orientacji złodziejskiej.

Był też żebrak Jan Szczepanek z Morgów. Po wypadnięciu papierów dragonowi austriackiemu, który siedział na koniu, szybko je podniósł i schował w zanadrzu, za co od dragona otrzymał nahajem. Potem myśmy jako szkraby, jak szedł gościńcem popod Wojtasów, wołali do niego:

– Jasiu oddaj papiery!

On zaś w odgryzieniu wrzeszczał:

– Wy wściekła, zielona polityka! – bo Wojtasów znano jako zadziornych do bijatyki, zaś Michaliki byli więcej zawziętymi politykami.

Stara Wieś miała przed wojną od północy, od miasta Limanowa do Młyn-czysk, 8 km wzdłuż i 4-5 km wszerz. Z lewej strony biegu rzeki pierwsze osiedle zwane było Malarzówka, drugie Lokajczyki, trzecie Słomiana. Była tam karczma żydowska, w której wieśniacy w zapusty po kościele przebywali do rana, skąd szli na targ. Po targu z powrotem wracali do karczmy i cały wtorek tam siedzieli. Niektórym gospodynie donosiły obiady. Następne osiedle Tokarówka, zamieszkałe było przez trzech Biedów. Jednego nazywali Kubos, a drugiego Medyk. Mieszkał tam Mamak i Gawron. Piąte osiedle Dudków, w którym pierwszy nie dosłyszał, to nazywali go Kozą. Idąc ze szkoły z Limanowej, jak go zobaczyliśmy na ogrodzie, gwizdaliśmy na palach i wołali:

– Koza, me-e-e-e-e!

Za to on gonił za nami. Uciekając szosą, zbaczaliśmy w krzaki. Drugi Dutka był Jano, a trzeci Klajny Pysk. W Podlipowem jest osiedle Źródłówka, zamieszkałe przez Piaskowego, Króla, Biernatów i Kędroniów. Następne osiedle Wojtasów. Było ich trzech. Było tam dwóch Michalików, których matka żyła długo. Na imię miała Balbina. Synów jej zwano Balbiniakami. Jeden z nich, mój ojciec, był zwany Wojciesek. Dalej osiedle Francoków, zwanych Kamerdyny, osiedle Tą-tów, osiedle Bugańskich i Biernatów, zwanych Blajdy, osiedle Skrajkówka – Kuligi i Kędronie; jeden z Kędroni – Biały. Osiedle to spaliło się w czasie niedzielnego nabożeństwa od suszenia lnu w piecu chlebowym. Było to po I wojnie światowej. Osiedle Fiejtków; jeden z nich Dzidzior. Osiedle Rola – Młynarczyki; jeden z nich Józwik, a drugi Jakub. Osiedle Gaik – Pałki i Dębskie. Osiedle Sajdakówka – Dębscy i Spodjedlicy. Osiedle Leśniówka – Chudy i Jarosz. Podlas – Rożki i Janiki. Pożary, gdzie była druga karczma żydowska. Osiedle Zakopane – Jeże, Florki, Bednarczyki i Chude.

Prawa strona rzeki. Okolice Morgi, zamieszkała była przez Szewczyków, Pałków, Wojtasów, Śmierciaków. Okolice Golców, przez Dębskich, Pałków (jeden był Jędrzejek), Postrożnych (jeden Sobusiak), Zoniów (jeden Musiel) i Gawronów (jeden z nich Maruś). Jego syn Jan o wielkich zdolnościach ukończył gimnazjum w Nowym Sączu i Uniwersytet Jagielloński. Otrzymał dyplom.

W nauce podtrzymywali go wyżsi nauczyciele i profesorowie. W czasie nauki doszkalali ich dzieci, za co otrzymywał wynagrodzenie na zakup przyborów niezbędnych w szkole. Był to jeden we wsi wyżej wyszkolony. Na górze Golców: dwa gospodarstwa (na polanie jedno Jaskier). Miejsce Łąki zamieszkałe było przez Hybali i Wojtasików. Osiedle Dzielec przez Pucha – wójta wsi i czterech Liszków. Jeden zwany był Rumtatata, a drugi Cichy, bo miał rurkę w krtani i jak chciał mówić, to musiał ją przyciskać. Osiedle Skorupówka zamieszkiwane było przez Pałków, z których jeden zwany był Kowalem, bo miał kuźnię. Osiedle Działy, nazywane Czerwoną Ziemią, zamieszkiwane było przez Florków i Zoniów (jeden z Florków był Habisik). Okolice Skrętka przez Skrętków i Pałków. Osiedle Sajdakówka jako wnęka pól dworskich. Okolice Wola zamieszkiwana była przez Biedów, Garnarczów, Biedroniów, Łyszczarzy (jeden z nich Krupa, a drugi Dziołek). Okolice Podstawy, w której była trzecia karczma żydowska. Brzeg, polana wschodnia Golcowa, zamieszkiwany był przez Krajewskich i Szubrytów. Tam jest cmentarz Austriaków z I wojny światowej. Podjabłoniec – jest tam cmentarz z I wojny. Poza tym teren przyległy do Limanowej, tzw. dwór Zygmunta Marsa. 1000 hektarów pól i lasów.

Co do upadku majątkowego Zygmunta Marsa, to czy był za granicą, czy mu ktoś doradził, fakt że wybudował pierwszy parowy browar w Polsce, na co udzielał mu pożyczki jego brat – kupiec w Krakowie. Poszedł w zastaw cały dwór, bo materiały i architektów sprowadzono z zagranicy. Browar ten produkował dobre piwo, które na eksport wywożono wagonami za granicę. Zarząd Związku Browarników, który miał tzw. kartel cen piwa, przybył do Marsa z propozycją, aby wstąpił do tego związku i na jego rzecz uiszczal opłaty zgodnie z wielkością produkcji. Mars na propozycję odpowiedział:

- Wy smarkacze, chcecie mnie uczyć waszych praw!

Wtedy to zarząd tego związku przekupił kierownika produkcji. Ten produkował zepsute piwo, które dwukrotnie Marsowi zwrócono z eksportu. Potem Zarząd Związku Browarników zaproponował mu opłacalną stawkę, żeby przestał produkować, na co Mars się zgodził. Po trzech latach zrobił przegląd browaru. Jeszcze płacili mu przez dwa lata, do lat pięciu. W piątym roku zrobili przegląd, kiedy już wszystko rdza przegryzła, tak że browaru nie można było uruchomić i piwa produkować, wtedy Marsowi przestali płacić. W ten sposób pozbył się browaru i majątku, gdyż nie był politykiem i dał się przechytrzyć Zarządowi Związku Browarników.

Właścicielem majątku rolnego został bratanek Marsa, Grześ z Krakowa. Sprzedawał on Niemcom choinki ścinane w jego lesie. Za ścinaną płacono dziesięć złotych od kopy, za wiązanie po trzy choinki, powrosłami ze słomy, po trzy złote. Następnie drzewa ścinał na stemple do kopalni, a większość na opał.

Kiedy Grześ z Marsem wyjechali powozem do lasu, Mars pyta:

– Grzesiu, co będzie, jak się to skończy? – na co Grześ:

– Stryju, kula w łeb!

Grześ miał takie maniere, że urządził zakład i dla tego zakładu przez półmetrową podbudówkę okna wystawowego wjechał samochodem do sklepu Żyda. Zatrzymał się na ladzie, na co Żyd zemdłał i upadł. Potem wyrównał wszystkie straty i załagodził Żyda, co mu się opłacało.

Ten Grześ, jeżdżąc swoim samochodem, w dni świąteczne przejeżdżał przez dołki z wodą i chlapał ludzi. Szykowaliśmy się na niego jako szczeniaki, by za to mu stłuc szyby w samochodzie. Kamienie nosiliśmy w kieszeniach. Miało to być przed karczmą Lejbusia, bo to było miejsce, z którego można był uciec przed policją. Do tego jednak nie doszło.

Życie pańszczyźniane i popańszczyźniane w niewoli austriackiej było bardzo ciężkie dla wieśniaków, przeważnie analfabetów. Ponieważ wszyscy mężczyźni zostali wzięci na Wielką Wojnę, bardzo słabo uprawiane role nie dawały utrzymania rodzinom, nawet w średnich gospodarstwach.

Z braku odzieży i obuwia wiele młodzieży nie uczęszczało do szkoły podstawowej. W Starej Wsi na zimę szkoła przerwała naukę. Młodzież, chcąc przejść z klasy do klasy, zmuszona była dwa lata uczęszczać do jednej klasy. Jednak analfabetyzm nie został zmniejszony. Po przewrocie majowym, za rządów sanacyjnych, powrotnie młodzież nie miała się w co ubrać i analfabetyzm wzmógł się.

W tym czasie z braku mydła ludność wsi chodziła brudna i owładnięta gadem zawszonym. Pranie bielizny odbywało się przy użyciu gotowanego popiołu, tzw. ługu. Przez to wszy zostały wypłukane, ale gnidy w szwach ponownie się lęgły.

Chaty budowano z drzewa pod przykryciem ze słomy, przeważnie dwuizbowe. Podłogi – klepiska – były ubijane z gliny. W porze letniej w mieszka-

niach było bardzo dużo pcheł. Wtedy spaliliśmy w stodołach, lecz po kilku nocach musieliśmy przenosić legowisko, by uwolnić się od plagi.

Rozrywki młodzieży, to były potańcówki przy harmonii guzikowej, no i podchwytywanie różnych piosenek wojskowych. Młodzież pięknie, chóralnie śpiewała. Jak wyszła na taką potańcówkę, której nie było, to do późna w nocy dokonywała kawałów, np. u Wikara na Granicach Słopnickich dziesięciu chłopaków poprzez niską szopę wyniosło wóz na dach stodoły i złożyło na kalenicy. Gdy rano Wikar kazał synom podtoczyć wóz pod gnój, dzieci oznajmiły, że wozu nie ma. Szukał go cały dom. Wreszcie wyszedł dziadek Wikar i mówi:

– Widzicie, psia posoka? Wóz macie na dachu!

Większość młodzieży uczyła się czytania z książki do modlitwy. Był niejaki Biernat w Morgach, którego matka nauczyła czytania z tej książki. Żył on bez ojca jako jedynak z matką. Prenumerował gazetę ludową i z niej ułożył sobie referat, że przemawiał przez całą godzinę w Limanowej w Święto Ludowe. Jego przemówienie było zachwycające.

Wiele gospodyń, w tym sąsiadka Wojtasowa, pomimo osiemnastu morgów i chowania na tym osiemnastu sztuk bydła i konia, nie miało butów. Jak Wojtasowa chciała iść gdzieś za mężem, który popijał, to pożyczala butów u mojej matki.

W roku 1936, gdy byłem prezesem Koła Związku Młodzieży Wiejskiej "Wici" w Starej Wsi i członkiem Zarządu Powiatowego tego związku, zaszła potrzeba uzyskania informacji z wojewódzkiego związku. W marcu od kolegi pożyczyłem rower, na którym mało sprawnie jeździłem i wybrałem się do Krakowa. Było to w zimie, drogi wyboiste. Gdy wyjechałem z Kasinki Małej na budowaną drogę Kraków – Zakopane, to 5 km musiałem prowadzić rower wśród chlapy, przez co do Krakowa dojechałem na wieczór. Ponieważ nie stać mnie było na nocleg w hotelu, to akademicy ze związku umieścili mnie na kanapce w dyżurce. Tam zeszło się ich kilku, bo były imieniny Józefa. Przynieśli trzy butelki wina i ciastka. Zaproсили mnie do biesiady. Urządzili to w pokoju przyjeź. Jak to akademicy, opowiadali różne dowcipy. Cały wieczór było tyle gadek humorystycznych, żeśmy pękali ze śmiechu.

Maria Lebdowiczowa

KAPŁAN, NAUCZYCIEL, PROBOSZCZ

W szeregu znanych, wybitnych piwniczańskich proboszczów znajdujemy postać ks. Ludwika Siwadły, który duszpasterzował parafii p.w. Narodzenia NMP przez 30 lat. Graniczne daty 1952-1981 mówią dostatecznie wiele o czasach, na jakie wypadło proboszczowanie w nietatwej, rozrzuconej po górach na lewym i prawym brzegu Popradu, parafii.

Ks. prałat Ludwik Siwadło ur. się w 1907 r. w Buczkowie powiat Bochnia, zmarł 19 marca 1992 r. Ukończył Gimnazjum im. K. Brodzińskiego w Tarnowie, Instytut Teologiczno-Filozoficzny w Tarnowie (1932 r.), tytuł magistra teologii uzyskał w 1951 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Droga jego kapłańskiej pracy prowadziła przez Dębno, Wietrzychowice, Nowy Sącz, gdzie był wikariuszem i katechetą w szkołach podstawowych i średnich. Prawdopodobnie wielu nowosądeczan starszego pokolenia pamięta jeszcze



jego sylwetkę jako młodego kapłana. Nie lubił dużo mówić, ale to co mówił miało swoją wagę i znaczenie, a pod surową pozornie miną skrywał uśmiech współgrający z głębokim, pełnym zrozumienia spojrzeniem. Niewątpliwie wzbudzał sympatię, skoro przedwojenne pokolenie jego uczniów nazywało go ciepło "Ludwiczek".

W 1939 r. został kapelanem 158. pułku dodatkowego w Nowym Sączu i odbył z nim drogę na front pod Wadowice. Jako kapelan rezerwy został awansowany w 1990 r. przez Ministerstwo Obrony Narodowej na stopień majora, co przyjął z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru.

W czasach stalinowskich i późniejszych, gdy był proboszczem w Piwnicznej, organizował i prowadził wiele trudnych spraw. To z jego inicjatywy, dzięki jego staraniom i zdecydowanemu działaniu, w tamtych trudnych czasach powstały kaplice w Kosarzyskach i Głębokiem, gdzie najpierw odprawiano tylko niedzielne Msze św., a z czasem erygowano nowe parafie: w Kosarzyskach w 1957 r., w Głębokiem w 1981 r. Wierni tych parafii modlą się dziś w pięknych świątyniach, których budowę rozpoczął w nieprzyjaznych Kościołowi czasach ks. Ludwik Siwadło.

Kiedyś, w pierwszych powojennych latach, jako dojeżdżający do Marcinkowic prowadził tam pracę duszpasterską. Zapalił mieszkańców do budowy kościoła, zajął się jej organizacją. Z ogromną wdzięcznością mówił o tym przedstawiciel parafii Marcinkowice w mowie pożegnalnej na pogrzebie ks. prałata Siwadły w dniu 21 marca 1992 r. w Okulicach. Trzeba też odnotować fakt budowy domu katechetycznego w parafii piwniczańskiej (1980 r.), odnowienie kościoła, zainstalowanie w nim centralnego ogrzewania.

Był ks. Siwadło wielkim opiekunem kapliczek i kaplic w takich miejscach jak: Piwowarówka pod granicą słowacką, Kokuszka, Fiedorek. W kaplicy w Kokuszce co niedzielę odprawia się jedną Mszę św., na Piwowarówce 13 czerwca, w dniu patrona kaplicy, i jesienią na zakończenie sezonu turystycznego, który z kolei otwiera wiosną Msza św. na Fiedorku. Są to owoce pracy piwniczańskiego proboszcza, który przybliżał Boga ludziom mieszkającym w odległych wioskach i przysiółkach, w osiedlach położonych wysoko w górach. Z troską się też o kapliczki przydrożne, polne, które zostały zinwentaryzowane. Przede wszystkim jednak rozbudził zainteresowanie ich stanem, uczył troski o każdą z nich. Dzięki jego staraniom zwrócono uwagę na histo-

rię parafii, zebrano nieliczne pamiątki ze spalonego w 1876 r. kościoła. Przypomniano też i upamiętniono stosowną tablicą w kościele zapomnianą postać ks. Macieja Żyły, budowniczego obecnego kościoła.

Zainteresowania ks. Siwadły przeszłością obejmowały również miasteczko. Docierał do najstarszych mieszkańców odległych przysiółków, wysłuchiwał ich opowieści, interesował się życiem ludzi, ich losem, ale najważniejsze, że potrafił tymi pasjami zainteresować odpowiednie osoby, wskazał kierunek działania, zachęcić do kultywowania zanikających tradycji ("kłapacze" w okresie Wielkiego Postu, wieńce żniwne przynoszone do kościoła w dzień parafialnego odpustu – 8 września). Uzyskał też zgodę władz kościelnych na obchodzenie drugiego święta patronalnego – odpustu w dniu 3 maja – w święto Maryi Królowej Polski. Towarzystwo Miłośników Piwnicznej w uznaniu jego zasług w dziedzinie historii i kultywowania tradycji wystąpiło do władz miasta o nadanie złotej odznaki "Za zasługi dla miasta i gminy Piwniczna". Ks. Ludwik Siwadło otrzymał ją w kwietniu 1984 r., będąc już na emeryturze.

Jego wielką troską były powołania kapłańskie i zakonne w parafii, misje i rekolekcje. Był człowiekiem wrażliwym na ludzką biedę, spieszył z pomocą pogorzelncom, ludziom dotkniętym różnymi nieszczęściami. Wielu do dziś wspomina jego konkretną pomoc. Sam żył bardzo skromnie, czy to będąc w parafii czy na emeryturze w swoim rodzinnym domu pod Bochnią. Ukochał Piwniczną i otaczające ją góry i kiedy zamieszkał (z wyboru) poza nią, tęsknił. Z radością przyjmował każde odwiedziny swoich dawnych parafian. Kiedy przyjeżdżał, wędrował po ukochanych miejscach, wciąż interesował się życiem swoich dawnych sąsiadów.

Na jego pogrzeb w Okulicach, mimo bardzo złej marcowej pogody, przyjechało mnóstwo ludzi. Pożegnalną mowę parafian z Piwnicznej zakończyły słowa: "Bogu niech będą dzięki za to, że mieliśmy takiego kapłana, takiego proboszcza". Dodać należy, że ks. Ludwik Siwadło przez wiele lat pełnił też funkcję dziekana starsosądeckiego, a w uznaniu zasług otrzymał tytuł szambelana papieskiego.

Następca ks. Ludwika Siwadły, ks. prałat J. Wątroba, zadbał o upamiętnienie swego poprzednika. W piwniczańskim kościele umieszczono tablicę pamiątkową z mottem: "Daj Boże, aby wszystkie umysły złączyły się w praw-

dzie, a wszystkie serca w miłości". To wezwanie przez długie lata witało piwniczian wchodzących w bramę kościoła, a ks. Ludwikowi Siwadle towarzyszyło przez całe kapłańskie życie.

KOŚCIÓŁ ŚW. IDZIEGO W BARDIOWIE

Od redakcji:

W średniowieczu, a także w czasach nowożytnych Nowy Sącz i pozostałe miasta Sądeckizny utrzymywały z Bardiowem ścisłe kontakty gospodarcze i kulturalne. Sądeczanie i bardiowianie robili dobre interesy handlowe, wspólnie zwalczali beskidzkie zbójnictwo, korzystali czasami z usług tych samych rzemieślników i mistrzów. Te właśnie związki historyczne są – jak się wydaje – wystarczającym powodem, aby na łamach "Almanachu..." przybliżyć fragment przeszłość bliskiego ongiś sądeczanom miasta w kontekście opisu kościoła św. Idziego, wspaniałego zabytku architektury gotyckiej, w którego wystroju miał swój udział znakomity rzeźbiarz Jakub z Sącza.

Bardiowski kościół św. Idziego należy do najcenniejszych zabytków architektury na Słowacji. W 1970 r. obiekt ten uznany został za narodową pamiętkę kultury. W jego wnętrzu zachowało się m.in. jedenaście gotyckich szafiastych ołtarzy z XV i XVI w., które należą do najcenniejszych w środkowej Europie. Ilość ołtarzy oraz ich artystyczna wartość świadczą nie tylko o bogactwie miasta i jego cechów, ale również o wysokiej kulturze i artystycznym smaku fundatorów, a przede wszystkim o mistrzostwie ich twórców.

Kościół św. Idziego jest trójnawową gotycką bazyliką, z wysoką neogotycką wieżą oraz bocznymi kaplicami od strony południowej i zakrystią od strony północnej. Pierwotnie w miejscu obecnej świątyni mógł istnieć klasztor i kościół Cystersów, dlatego patronem dzisiejszego kościoła jest św. Idzi – opat cysterski. Wg najdawniejszych dokumentów, pochodzących z 1247 r., już wówczas istniała na tym miejscu pierwotna świątynia. Obecna budowla powstała później – w II połowie XIV w., przy czym jej wygląd zmieniła XV-wieczna przebudowa. W późniejszych okresach dokonywano dalszych zmian



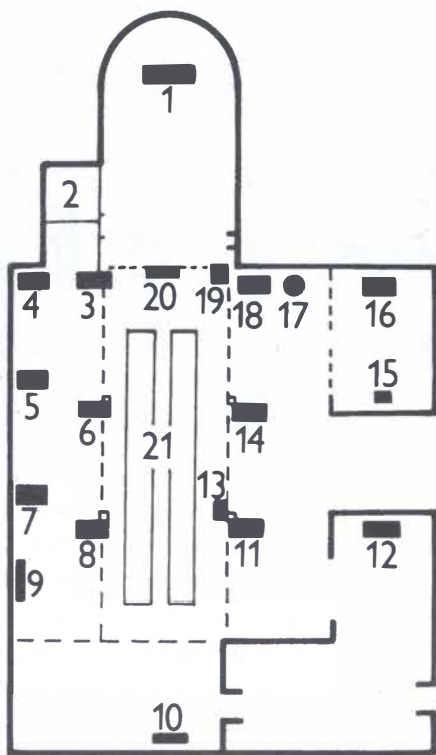
w wyglądzie kościoła, wynikających z klęsk żywiołowych nawiedzających Bardiów. I tak w 1550 r. spłonęła wieża (została odbudowana i powiększona), w 1725 r. trzęsienie ziemi nadwerżyło wieżę i mury, zaś 27 maja 1774 r. kościół ponownie trawił pożar, który zniszczył pokrycie z dachówki. W tym samym czasie podjęto generalną renowację świątyni, jednakże odbudowy wież dokonano dopiero w 1856 r. W latach 1879-1883 oraz 1886-1889 kościół odnawiano na koszt ministerstwa oświaty. Restauracja i regotyżacja prowadzona była wg projektu i pod nadzorem architekta prof. Imricha Steindla; wtedy właśnie na-

dano kościołowi dzisiejszy wygląd. Ponownej konsekracji dokonano w roku 1899.

Kościół św. Idziego w swojej historii doświadczył nie tylko zniszczeń spowodowanych klęskami żywiołowymi, ale również doznanych w wyniku wojen religijnych. W 1539 r. kościół znalazł się na kilka lat w użytkowaniu protestantów, by następnie, kilkakrotnie przechodząc z rąk do rąk, ostatecznie znaleźć się (w 1710 r.) na stałe w posiadaniu katolików.

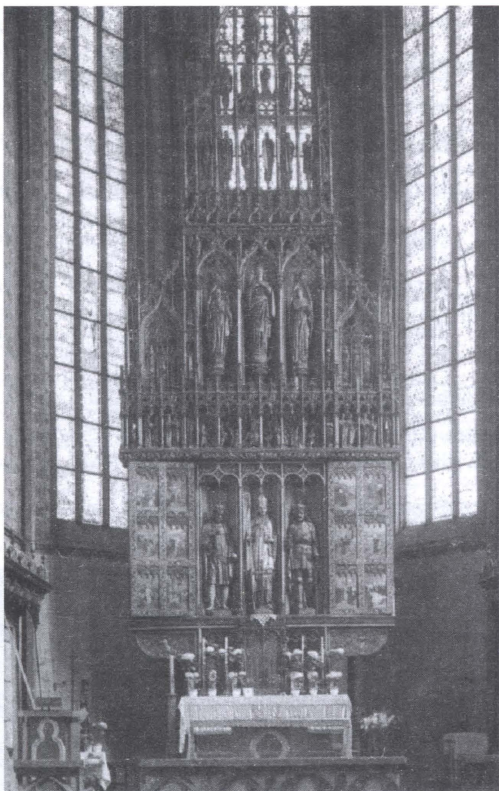
Świątynia ma 24 m wysokości i 47 m długości. Pomimo wielu burz dziejowych w jej wnętrzu zachowało się nie tylko wspomnianych jedenaście gotyckich ołtarzy, ale również wiele dalszych jeszcze arcydzieł sztuki i wspaniałych wytworów rzemiosła artystycznego.

WYPOSAŻENIE WNĘTRZA:



1. Główny ołtarz św. Idziego, neogotycki z 1888 r., z pracowni rzeźbiarskiej Maurycygo Hölzla. Z pracowni tej pochodzi również neogotycka ambona (nr 13) oraz niektóre elementy rzeźbiarskie nastaw ołtarzowych. Pierwotny ołtarz wykonał Jakub z Sącza w 1460 r. Z tego ołtarza zachowała się jedynie rzeźba św. Idziego z 1466 r. (nr 15) oraz tablicowe obrazy śś. Stefana i Władysława (nr 10). W 1655 r. gotycki ołtarz główny zastąpiony został barokowym, który wykonał Mikołaj Krynicki z Tańnowa. Z tego ołtarza do dziś zachował się centralny obraz Zdjęcie z Krzyża, dzieło Piotra Stöckela, wzorowany na pra-

cy Rubensa, w XIX w. niefachowo przemalowany (nr 9). Dzisiejszy ołtarz, z końca XIX w., ma 17,5 m wysokości. Centralną postacią ołtarza jest św. Idzi w towarzystwie świętych królów węgierskich Stefana i Władysława. Ołtarz przedstawia zbawienie ludzkości przez Jezusa Chrystusa. Oprócz rzeźb centralnych, znajduje się tu jeszcze około stu innych. W nastawie Wniebowstąpienie, w predelli Zwiastowanie i Narodzenie, a na skrzydłach tablicowe malowidła Stefana Agyhazego.



2. Kaplica św. Katarzyny, nazywana też "Oratorium króla Macieja" na cześć węgierskiego króla Macieja Korwina, który kilkakrotnie odwiedził Bardiów. Bogato rzeźbiona ławka z tej kaplicy, na której siadywał król, należy do cennych eksponatów Muzeum Narodowego w Budapeszcie.
3. (I) Ołtarz Narodzenia Pańskiego – gotycki z lat 1480-1490. Największy, najpiękniejszy i najlepiej zachowany z owych wspomnianych jedenastu. Pochodzi on z pracowni Wita Stwosza; wykonany został przez samego mistrza lub przez jego uczniów w Krakowie.

Szafa: rzeźba – scena Narodzenia.

Skrzydła: cykl z życia Chrystusa wg obrazów niemieckiego malarza Schongauera.

Predella: Zwiastowanie i Nawiedzenie, w środku Pokłon Trzech Króli.

Ołtarz zamówili rzemieślnicy najbogatszego cechu tkaczy, był on też pod ich opieką, oni również łożyli na jego oświetlenie. Wielkość i piękno ołtarza świadczą o zamożności tego cechu.

4. (II) Ołtarz "Vir Dolorum" – Mąż Boleści – pochodzi z 1500-1510 r.

Szafa: umęczony Chrystus z atrybutami męki.

Skrzydła: awers – sceny Męki, rewers – żywoty świętych.

Predella: śś. Elżbieta, Kunegunda, Urszula, Katarzyna, Barbara.

Ołtarz ma symbolizować cierpienie na ziemi, które będzie odmienione w wieczności. Ołtarzem opiekował się cech cieśli.

5. (III) Ołtarz śś. Mikołaja, Erazma i NMP. Pochodzi z 1505 r.

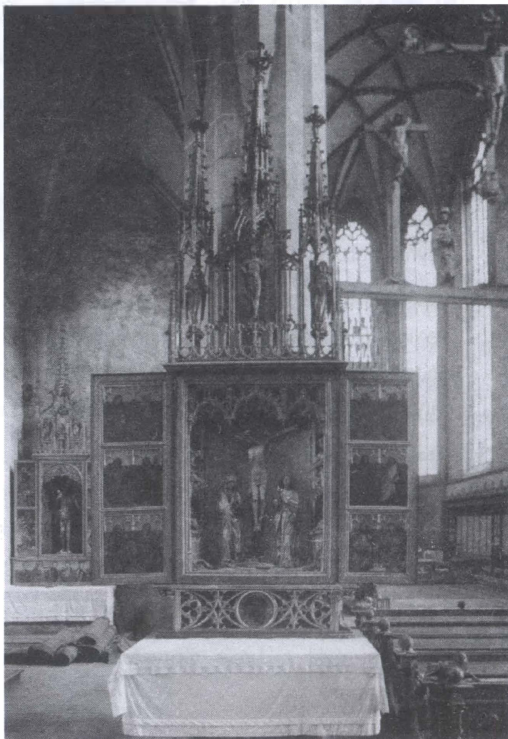
Szafa: śś. Mikołaj, Erazm i NMP, rewers – sceny z życia św. Mikołaja i św. Erazma. Ołtarzem opiekował się cech garncarzy.

6. (IV) Ołtarz Św. Krzyża, gotycki, pochodzi z lat 1480-1490. Po ołtarzu Narodzenia najcenniejszy w świątyni.

Szafa: Kalwaria, we wnękach postacie proroków Starego Testamentu.

Skrzydła: awers – dwunastu apostołów, rewers – znalezienie Św. Krzyża.

Predella: Veraikon – chusta św. Weroniki. Najcenniejszy obraz w świątyni, przypisywany Dürerowi. Ołtarzem opiekowali się rolnicy.



7. (V) Ołtarz Siedmiu Boleści NMP, gotycki, z lat 1480-1490.
Szafa: Kamienna Pieta z lat 1430-1440. Jest to najcenniejsza rzeźba kamienna na Słowacji.
Skrzydła: awers – męczennicy, rewers – cykl Męka Pańska. Ołtarz miał za swoich opiekunów cech murarzy.
8. (VI) Ołtarz św. Anny Samotrzeć, gotycki, z lat 1490-1500.
Szafa: św. Apolonia, Anna i Jerzy.
Skrzydła: awers – męczeństwo świętych, rewers – św. Fabian, Eligiusz, Eustachy, Urban. Ołtarzem opiekował się cech sitarzy.
9. Obraz pochodzący z barokowego ołtarza (1655 r.) , przedstawiający Zdjęcie z Krzyża, wykonany został przez Piotra Stöckela na wzór obrazu Rubensa. W XIX w. niefachowo przemalowany.
10. Tablicowe obrazy św. Stefana i Władysława, pochodzące z pierwotnego gotyckiego ołtarza głównego.
11. (VII) Ołtarz św. Anny i NMP Królowej Niebios. Pochodzi z 1485 r.
Szafa: św. Anna Samotrzeć, NMP, Dzieciątko. Po bokach św. Apolonia, Elżbieta, Dorota i Barbara.
Skrzydła: awers – sceny z życia św. Anny, rewers – Pozdrowienie Anielskie, św. Katarzyna, św. Apolonia.
Predella: chusta św. Weroniki.
12. (VIII) Ołtarz św. Andrzeja Apostoła. Ołtarz bez szafy i rzeźbionych postaci. Składa się z czterech podłużnych malowanych na deskach części u góry zwieńczonych trójkątnymi nastawami. Wg niektórych pochodzi z 1460 r., wg innych z I połowy XV w. Uchodzi za najstarszy w świątyni.
13. Ambona – wykonana około roku 1888 łącznie z obecnym ołtarzem głównym w pracowni rzeźbiarskiej Maurycego Hözlza.
14. (IX) – Ołtarz św. Elżbiety pochodzący z 1485 r. Treść malowanych obrazów podobna jak w ołtarzu głównym w katedrze w Koszycach. Obraz w ołtarzu przedstawiający żebraka świadczy, iż w tym czasie w Bardowie był już szpital, w którym opiekowano się biedakami.
Predella: "Vir Dolorum", NMP i św. Jan. Ołtarzem opiekował się cech krawców.

15. Rzeźba św. Idziego na konsoli zachowana z pierwszego gotyckiego ołtarza głównego z 1465 r., wykonana przez Jakuba z Sącza, który miał swój warsztat w Krakowie. Figura ma wysokość 2,5 m i pochodzi z głównego ołtarza spalonego w 1539 r. przez protestantów. W ołtarzu tym były ponadto jeszcze dwie rzeźby – św. Jana Ewangelisty i św. Jakuba o wysokości 1,2 m – wykonane również przez Jakuba z Sącza.
16. (X) – Ołtarz NMP pochodzący z 1490 r.
 Szafa: NMP, śś. Piotr, Paweł, Jan Ewangelista, Kunegunda.
 Skrzydła: awers – Zaśnięcie NMP, rewers – sceny z życia NMP.
17. Chrzcielnica gotycka z XV w., wykonana z brązu. Pokrywa z XVII w.
18. (XI) – Ołtarz św. Barbary z lat 1450-1460.
 Szafa: śś. Barbara, Elżbieta, Kunegunda, Katarzyna, Łucja.
 Skrzydła: awers – Pokłon Trzech Króli i męczeństwo św. Barbary (wieża z trzema oknami, kielich, hostia, miecz(?), rewers – Zwiastowanie.
 Predella: rzeźba Stolica Miłości – Ecce Homo, jedno z najcenniejszych dzieł gotyku na Słowacji. Jest to scena, w której król Dawid przedstawia ludzkości umęczonego Chrystusa. Pochodzi prawdopodobnie z kręgu pracowni mistrza Pawła z Lewoczy.
19. Gotyckie pastoforium z 1465 r. wykonane przez rzeźbiarza Stefana Lapidusa w kształcie wieży, wyciosane z kamienia. Służyło do przechowywania Najświętszego Sakramentu.
20. Kalwaria gotycka, grupa rzeźb z końca XV w. wykonana z drewna cisowego. Na belce nośnej data 1655 r. odnosząca się do odnowy rzeźb. Podaje się, że twórcą tych rzeźb był Wit Stwosz.
21. Ławice. Należały one do patrycjatu miejscowego. Wczesnobarokowe z końca XVI w., bogato zdobione reliefem.

Epitafia i nagrobki. Za chrzcielnicą znajdują się epitafia i nagrobki byłych burmistrzów Bardiowa. W kaplicy NMP piękny nagrobek Jerzego Szerediego (oficera króla Ferdynanda) wykonany w 1557 r. z czerwonego marmuru.

Wnętrze kościoła dopełniają gotyckie i gotycko-renesansowe stalle, go-

tyckie drzwi do zakrystii z roku 1454, kamienne nagrobkowe tablice z XVI i XVII w., gotyckie żyrandole i świeczniki, organy firmy Rieger z początku XX w.

Literatura:

1. Frický A., *Bardejov*, 1965.
2. Pinkwart M., *Północna Słowacja – przewodnik krajoznawczy dla zmotoryzowanych*, 1996.
3. Ďurček J., *Bardejovské Kúpele*, 1978.
4. *Bardejov – Mestská pamiatková rezervácia*, 1990.
5. Jászayová L., *Bardejov*, 1995.
6. Osadowski T., *Słowacja nie tylko dla narciarzy*, 1993.
7. Ďurček J. a kolektiv, *Čergov, Branisko*, 1991.
8. Roubal R., *Slovensko*, 1984.



JADWIGA KRACO

ZWYCZAJE I OBRZĘDOWOŚĆ MUSZYNY 3

BRONISŁAW KOSOWSKI

RYS HISTORYCZNY TYMBARKU I OKOLICZNYCH WSI 13

MARIA KOWALSKA

JAN BIEDROŃ 19

ANNA TOTOŃ

O ZAKŁADZIE FOTOGRAFICZNYM JÓZEFA ZACHARSKIEGO 25

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI

WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU – NATIONAL LOUIS UNIVERSITY 31

KAZIMIERZ KUROPESKASĄDECCY PARAOLIMPIJCZYCY. POCZĄTKI I ROZWÓJ
SPORTU NIEPEŁNOSPRAWNYCH NA SĄDECCZYŻNIE. 49

WINCENTY MICHALIK

LUDOWE HISTORYJKI ZE STAREJ WSI 58

MARIA LEBDOWICZOWA

KAPŁAN, NAUCZYCIEL, PROBOSZCZ 64

WIESŁAW PIPREK

KOŚCIÓŁ ŚW. IDZIEGO W BARDOWIE 68

